OD REDAKCYI.

Przypominamy koniec kwartału tym, którzy nie uiścili dotąd prenumeraty i prosimy bardzo usilnie o rychłe odnowienie jej na przyszły kwartał. **Osoby, które nie uiszczą zaległej prenumeraty do 15 października, zostaną wykreślone z listy abonentów.**

Zjednywanie nowych prenumeratorów i nadsyłanie adresów dla rozsyłki numerów okazowych — są konieczne, aby utrwalić byt naszego pisma i usunąć coraz cięższe do zwalczania deficyty. Przypominamy to bardzo gorąco przyjaciołom „Nowego Słowa“ i sprawy, o którą walczymy. *Redakcya.*

IDEAŁY I RZECZYWISTOŚĆ EMANCYPACYI KOBIECEJ.

Każdy ruch ideowy, powołany do życia wezbraną falą nowego porządku rzeczy, nieuniknienie łamiącego się i zmagającego w ciągłości swego rozwoju ze starym, zależny jest od potęgi warunkowej miejsca i chwili — dlatego też wszędzie i zawsze przejawia się w nieco odmiennej formie

Dziś kwestya kobieca stawiana zasadniczo — została w Ameryce i Europie rozstrzygnięta przez samą rzeczywistość potrzeb materyalnych, umysłowych i moralnych, poniekąd w znaczeniu twierdzącem, u nas zaś nie przetrwawszy jeszcze chaotycznej chwili przełomu, błąka się po zawiłych, przymglonych torach intuicyi i omacku.

Zadawszy sobie pytanie: jakie przyczyny wywołały to opóźnienie się naszego społeczeństwa w zaszczytnym pochodzie ogólnego postępu musimy kolejno rozejrzeć się w dziedzinie czynników teoretycznego uświadomienia, ideału godności człowieczej i praktycznego zastosowania onego w faktycznej rzeczywistości.

Czylibyśmy, zawdzięczając swej tradycyjnej, ogólnie znanej bierności i spiączce umysłowej, nie mieli jeszcze zrozumieć, że stanowimy jedno z ogniw wszechświatowej całości i przeto wszelkie zmiany zdrowotne zachodzące w poszczególnych organach ciała ludzkości, są też i naszym szczęśliwym udziałem?

Czyżby utylitaryzm i materyalizm wojowniczego wieku, słynnego z rozkwitu pary i elektryczności był przygasił w nas wszelkie bogactwa duchowych poczuć? Czyżbyśmy zatruci trupiemi wyziewy bagnisk znikczemnienia i rozkładowej śmierci, całkiem już nie zdolni byli położyć jakichbądź zasług na chwalebnych polach uszlachetnienia instynktów społecznych i wogóle uzacnienia rodzaju człowieczego?!

Co szwankuje: myśl, charakter, czucie czy temperament, nie dający się unieść boskim porywom czynu.

Wszystko — wszystko na raz!...

Chociaż zmieniające się stopniowo stosunki gospodarcze same regulują popyt i podaż pracy kobiecej, chociaż fałszywy stan rzeczy sam wikła związek norm społecznych, chociaż rozpaczliwe przygnębienie, spowodowane ogólnym brakiem jędrności i ostoi moralnych, dusi nas jak zmora piekielna nie chcemy dotąd sprowadzić niezliczonych nędzy rzeczywistości do jednego mianownika, nie chcemy się ześrodkować poważnie — wejrzeć w ideały i potrzeby współczesnego życia, wmyślić się we wsteczne objawy ciemnoty i upadku, obniżające przeciętne pełnienie obowiązków obywatelskich, wczuć się, wtęsknić w ożywczy wiew ducha czasu, porywającego nas nową mocą wyzwolin duchowych, prowadzącą do niezależności osobniczej i samodzielności powszechnej, do spotęgowania postępu godności ludzkiej.

Nie mamy dobrej woli, aby się porozumieć i przyjść do jakiejbądź zgody, przystąpić do powszechnej, wzmocnionej działalności mającej na celu jedynie dobro płci obydwojej... na wspólnej drodze do człowieczeństwa.

Namiętne stawianie kwestyi na gruncie przeciwdziałania i zatargów osobistych, wytykanie krzywd niewyczerpanych, bezświadomie czynionych uraz, rozpaczliwe niekiedy nawoływanie do odemsty — złe tylko w swoich skutkach niosącej, jako wszelkie bezprawie, wszelka walka na pięście — nie zapowiada jakiegoś lepszego rozwiązania tak zawiłych, nieuchwytnych do nieskończoności subtelnych stosunków różniczkowych.

Nić sprawy rozplątywać powinno się nie napadaniem na mężczyzn — „ciemiężycieli“ lub niewolniczem, bezradnem przechodzeniem na stronę „silniejszych“; nie osobliwą niechęcią lub skłonnością, płynącą zawsze z osobistych, egoistycznych pobudek, nie bojem bezwzględnym na całej linii stycznej lub zrównaniem w dobrem a bodaj w złem z typem płci innej, nicestwiącem właściwości różnych lecz równych wartości osobniczych, (gdyż ani mężczyzna dla kobiety ani odwrotnie ideałem ludu pośrednim być nie może) — lecz jedynie samoobroną w razie ostatecznym, buntem mocnym przeciwko ogólnemu szablonowi, rutynie, inercyi i zaśniedziałości — uzupełnieniem się w przyjaźni, koleżeństwie, wzajemnem oddawaniu usług, współubieganiu się o najbogatsze, ułatwiające życie plony na niwie do-

robków materyalnych, duchowych i cielesnych, podjęte w imię dobrze zrozumianego interesu ogólno-ludzkiego, w imię urzeczywistnienia pięknego ideału godności osobistej, „zupełnego człowieka“ wreszcie miłością i delikatnością względem wrażliwszych i szlachetniejszych bliźnich...

Zarówno śmiesznem jest bojaźliwe nawoływanie do „kołyski“ wobec wzrastających szlachetnych pragnień i dążności kobiet dla rozszerzania swoich i ogólnych horyzontów umysłowych, jak i sztuczna, zwyrodniała, jałowa junakerya zapamiętałych nienawistniczek płci męskiej, bojujących w imię materyalnej, fizycznej i moralnej niewoli kobiet, gdyż nigdy kobieta porywana istotną potrzebą instynktu i świadomości nie zaprzestanie być najczulszą piastunką ludzkości, nigdy nie poniecha miłości szczerej, stanowiącej najjaśniejszy promień bytu człowieczego, nigdy—jeśli nawet los wyjątkowo przeszkodzi jej złożyć objatę na ołtarzu nowego życia, nie zbędzie się uczuć subtelniejszych, nastrojów i egzaltacyi miłosnej.

Zarówno wstrętnem jest flirciarstwo, wpółplatoniczne miłostki, półdziewictwo i najzupełniejszy upadek kobiety, co już nareszcie zrozumiały Amerykanki, Angielki, Szwedki a nawet zniesławione od stóp do głów-ubabrane w rozpuście panny paryskie, jak i podwójny pryzmat moralności płciowej i wszelkie chorobliwe skutki płytkiej lekkomyślności mężczyzn. — Zanik ideałów ogólnych odejmując kapłaństwo człowiekowi, stacza go o wiele stopni niżej od bezświadomego, ślepo wypełniającego prawa przyrody bydlęcia, gdyż szczęście ludzkie leży nie w nicestwieniu i przepalaniu życia, narkotyzującą rozpustą, nie w surogatach zmysłowych, upadlających miłostkach, lecz w zadośćuczynieniu prawdziwemu głodowi trwania w ogromnej, zdrowej i szlachetnej miłości, w świadomem tworzeniu nowego coraz doskonalszego istnienia, w godności moralnej człowieka i w mocy charakteru.

Precz więc z drobnostkowością przesądów zacieśniających przestworza horyzontów! Precz z przywilejami nadawanemi upodleniu, niedołęstwu bezsilności i kretynizmowi! Precz z flirtem, strojami zbyt wyszukanemi, głupią rozbawioną pustotą, z życiem ponad konieczną normę i wielkiemi sromotnemi upodleniami ducha...

Prostota, zaradność, oszczędność w szerszem, ogólno-gospodarczem znaczeniu, obowiązkowość przy kwalifikacyach fachowych i nauce, ćwiczenie się w obowiązkach nie równych, ale coraz większych, wdzieranie się na sam szczyt doskonałości człowieczej, zgodliwe harmonizowanie się, współdzielcze zawodowe zrzeszenia i samopomoc kobiet lub wespół z mężczyznami, gruntowna zmiana w wychowaniu, oddziaływanie dodatnie na mężczyzn, szerzenie idej humanitarnych...

Praca, praca i praca

Praca według sił i zdolności, według serca i umysłu, praca ożywiona

duchem obywatelskim—wszechstronna, wytrwała, celowa, zdrowotna, praca matek — odnowicielek rodu ludzkiego, praca dziewczątek, które wchodzą dopiero w życie, praca westalek dźwigających sztandary z godłami innemi jak tylko „małżeństwo“ — praca a nie czcze próżne, podobne bańkom mydlanym słowa...

Tyle dróg otwartych, tyle placówek wyczekujących na straż, tyle interesów ekonomicznych, cywilizacyjnych, społecznych i moralnych — byle tylko chęci jak najwięcej, byle rąk przyłożenia, a przyjdzie krokiem wolnego postępu i ona pożądana niezależność, i promienna boska miłość i sprawiedliwy podział pracy i równość praw. *Sickierz Cichińska.*

Z PSYCHOLOGII I PEDAGOGII DZIECKA.

CIĄG DALSZY

II.

Zuchwalstwo. — Wyzywanie. Są to bardzo niebezpieczne objawy pokazywania się, kończące się nieraz nieszczęśliwie. Do tych należą: skoki, łażenie po dachach, przechodzenie przez płotki, pływanie w niebezpiecznych miejscach, ucieczki z domu, wałęsanie się, czasem kradzież.

Zanotowaliśmy 12 ciężkich obrażeń, 8 wpadnięć w wir lub głębinę, 2 wstrząśnienia nerwowe, 10 otruć i wiele, wiele innych. Pod tym względem nie różnią się chłopcy od dziewcząt — tylo tylko, że chłopcy, jako fizycznie silniejsi, wychodzą częściej zwycięzko, z tego rodzaju sztuk. W tem uczuciu gra rolę nie tyle chęć pokazania się lub chęć uchodzenia za bohatera, jak, przeciwnie chęć okazania, że się nie jest tchórzem.

I tak, jedna 12 l. dziewczynka spędziła noc w domu, o którym mówiono, że w nim straszy. Przypłaciła to długą chorobą nerwową.

9 letni chłopczyk, słysząc, że mu nie wierzą, że przejdzie pod pociągiem, stojącym na stacyi, przelazł, narażając się na przejechanie.

9 letni chłopczyk: spuścił się ze stromej góry wraz z łódką, w sam wir i o mało co nie utonął.

12. letni chłopczyk: wyzwany, wyskoczył z okna 2-go piętra.

Chłopczyk lat 10.: Wyzwany, zeskoczył z mostu w rzekę.

Dziewczynka l. 12.: Wyzwana, siadła na nieosiodłanego źrebca, który ją natychmiast zrzucił itd. itd.

Małe dzieci, obawiając się pogardy starszych, lub też nie zdając sobie sprawy, z grożącego im niebezpieczeństwa, ogromnie się narażają:

Chłopczyk lat 4 włożył rękę w mrowisko, ponieważ starszy od niego twierdził, że tego nie zrobi itd. itd.

Tego rodzaju wyzywania i natychmiastowe zadośćuczynienie im — wypływają z błędnego pojęcia o czci i odwadze i jedyna rada, jaką dać mo-

żemy matkom, to piękne i rozumne czytanki, opowiadania zaczerpnięte z historyi i z życia bohaterów — wykazujące przystępnie i jasno — na czem właściwa odwaga, właściwe poczucie honoru — polegają.

W przeciwieństwie, do zbytniej chęci zwrócenia uwagi na siebie, pewności siebie i zuchwalswa — stoi nieśmiałość. Objaw ten, daje się zauważyć niezmiernie wcześnie, szczególnie u dzieci nerwowych.

Preyer notuje wyraźny przestrach przed nieznanem, lub nieznajomą twarzą u swego syna, w 25 dniu.

Perez zauważył ten objaw w dziecku dwumiesięcznem.

Darwin — w czteromiesięcznem.

Conepayre — pięciomiesięcznem.

Weiss Shino — w piątym tygodniu.

Małe dziecko, instynktownie cofa się i chce uniknąć widoku i zbliżenia z osobami i przedmiotami obcymi, a choć często objaw ten, szybko bywa pokonany przez wrodzoną dziecku ciekawość i kończy się poufałością i przyjaźnią, zmienia się jednakże u wielu dzieci w nieśmiałość, bojaźliwość. Najwcześniejszemi objawami tych wrażeń są: płacz, zakrywanie twarzy rękami, krycie jej na ramieniu lub w fałdach sukni, dobrze dziecku znanych osób. Te objawy, mają miejsce od pierwszego do piątego roku życia, choć zdarzają się i później, następnie idzie czerwienienie się, nienaturalne, nerwowe ruchy, uciekanie, chowanie się.

O wiele później występuje płacz, jako skutek nieśmiałości, a raczej jest to objaw upokorzenia miłości własnej, u dziecka z natury nieśmiałego i nerwowego A występuje zwykle po nieudanej próbie popisów: śpiewem, deklamacyą, grą.

Z niewielkiej ilości zebranych odpowiedzi, zupełnie stanowczych danych wyciągnąć nie można, pomimo to cyfra 20 dziewcząt na 8 chłopców, zdaje się przemawiać za tem, że tego rodzaju objawy, częściej się zdarzają dziewczynom, aniżeli chłopcom.

Dziew. lat 5.: Uproszona, by mówiła wierszyki, mówiła je szybko, kończąc płaczem, płakała następnie, nie dając się utulić.

Dziew. lat 5.: Obdarzona pięknym głosem, miała śpiewać publicznie. W ostatniej chwili rozpłakała się i nie mogła śpiewać.

Chłop. lat 6. Śpiewał publicznie, wśród śpiewu począł łkać, lecz śpiewał dalej, trzymając się z całej siły szwów spodenek.

Dziecko, odczuwa boleśnie przypatrywanie mu się. Chowa się za matkę, za poręcze mebli, ucieka. Dłuższe obserwowanie, nawet, gdy pochodzi od osób, lepiej znanych, bywa niezmiernie przykre dziecku.

Dziew. 1½ roczna. Gdy na nią patrzono, spuszczała oczy i chowała główkę.

Chłop. lat 2. Chował się za drzwiami, przezwyciężył to później.

Dziew. lat 4. Stawała plecami do gości, szczególniej, gdy się jej o coś pytano

Chłop. lat 4½. Chował głowę, gdy doń mówiono.

Uciekanie, zjawia się najpóźniej i jest cechą znamienną, instynktu płciowego; występuje w wieku zbliżającego się rozwoju. Pytano 12sto letniego chłopca, czemu się kryje przed gośćmi: „Oh, tam są dziewczęta, nie znoszę ich, zawsze się śmieją i kpią, zawsze mi się wówczas zdaje, że mam za dużo rąk i nóg".

Obawa śmieszności, świadomość niezręczności i brak wspólnych, interesujących tematów — wyrabia w młodzieży chęć, nawet potrzebę unikania towarzystwa starszych, lub osób różnej płci. Dziewczęta, te rzadko umieją wytłomaczyć unikanie młodzieży męzkiej, u dzieci jest to zapewne, nurtujące wspomnienie, doznanej niegdyś przykrości. Pierwszą osobą obcą, zostawiającą często na długo przykre wrażenie, jest obecność lekarza. Dziecko nawet swobodne i ufne, po pierwszych oględzinach lekarskich boi się, drży, unika obcych, szczególniej mężczyzn.

Dziew. lat 6. Uciekała stale od chłopców i panów.

Dziew. lat 8. Ucieka, gdy zobaczy dorosłego mężczyznę.

Chłop. lat 9. Uciekał zawsze, gdy dziewczynki próbowały się zbliżyć do niego.

Chłop. lat 13. Uciekał z pokoju, by uniknąć spotkania z dziewczynkami.

Ruchy nerwowe są właściwością, każdego dziecka, zdarzają się jednak najczęściej u dzieci małych, później zaś, u młodzieży. Obliczyliśmy 38 na 50 liczby ogólnej. W młodszym wieku, dzieci kładą palce do ust, gryzą ręce, paznokcie, później następuje dotykanie przedmiotów, przesuwanie, otwieranie i zamykanie albumów i książek, z ciągłą myślą, że się jest obserwowanym.

Jeszcze przykremu uczuciu podlegają w szczególności dzieci mające jakie kalectwo, znak szczególny, lub szczególną obdarzone brzydotą. Niezmiernie nużące te wrażenia, może tylko zwalczyć wpływ domu i szkoły.

Czerwienienie się jest jednym z objawów nieśmiałości, wraz z nim idą: dreszcze, wadliwe, przyspieszone oddychanie, przestanki i pauzy w jedzeniu, mowie, pamięci. Bardzo młode dzieci, nie czerwienią się z nieśmiałości, najmłodsze dziecko przez nas zauważone, miało lat trzy, gdy się rumieniło pod wpływem nieśmiałości. Darwin, wspomina o 2 dziewczynkach rumieniących się, pod wpływem tego uczucia.

Darwin też cytuje Dr Burgess, jako autorytet, dowodząc prawdziwości zdania, że małe dzieci się nie czerwienią, a także, że jest to objaw częściej u kobiet notowany.

Pactudge, w swym zbiorze 60 dzieci, wylicza dwoje dzieci w 6-tym roku. Rumienienie się zdarza się częściej młodym, ale jest zarazem objawem

pewnego rozwoju umysłowego, pewnej dojrzałości umysłowej, gdyż idyoci i niemowlęta nie rumienią się. Choć rumienienie się jest wynikiem : skromności, zażenowania, nieśmiałości i fałszywego wstydu — głównym czynnikiem tego objawu jest zbytnia ambicya, najczęściej do zewnętrznego wyglądu skierowana. Przyczynia się do tego, zbyt wiele zachodu i zwracania uwagi na ubiór i zachowanie się dzieci.

Ciekawem jest to, że dzieci ciemne i ociemniałe, także niezmiernie są wrażliwe, na swój wygląd zewnętrzny : rumienią się równie szybko i często, jak dzieci obdarzone wzrokiem.

Choć rumienienie się skóry, bywa tylko właściwe twarzy, uszom i szyi, często wrażenie gorąca rozciąga się na całe ciało, a następstwem tego, bywa często : ból głowy, bezsenność i podniecenie nerwowe.

Publiczne występy, deklamacye, popisy muzyczne, wywierają niezmiernie przykre wrażenie na cały system nerwowy dziecka, wyrządzając mu częstokroć wielką krzywdę.

Wzgląd ten, dotąd nieznalazł należytego zrozumienia i nadto jest przez rodziców i ogół lekceważony.

Dziew. lat 12. Podczas deklamacyi doznawała takiego drżenia, że kolana uginały się pod nią, gdy skończyła i siadła, serce tak jej biło gwałtownie, że tchu złapać nie mogła itd. itd.

Mężcz. lat 17. Dowcipny, zdolny, proszony o toast, na obiedzie uroczystym, począł się jąkać, zbladł, zaczerwienił się i ani słowa nie mógł powiedzieć itd. itd.

Inne objawy jak : drżenie, zimny pot, mętny wzrok, bicie serca, ściśnięcie muskułów gardlanych, wszystko to zdarza się w różnym wieku, częściej jednak w dzieciństwie i okresie dojrzałości płciowej, aniżeli w wieku dojrzałym, choć trema sceniczna znaną jest i obserwowaną do późnego wieku.

Dzieci cierpią wskutek nieśmiałości, często o wiele więcej, aniżeli to ogólnie wiadomo i tak, pierwszy dzień w szkole bywa często ogromnie przykrym dla odwagi i panowania nad sobą, małego człowieka.

Należy żałować dziecko nieśmiałe, które w cichości i ukryciu cierpi, lecz dziecko, które ze łzami i drżące wypełnia swój obowiązek i pokonywa się i łamie, takie dziecko należy otoczyć nie tylko uznaniem, ale szczerem uwielbieniem, gdyż spełniło nie tylko obowiązek, lecz i czyn bohaterski.

Śmiech. W śmiechu, widzimy objaw poczucia osobowości, zdarza się ona częściej u dziewczynek, aniżeli u chłopców.

Zażenowanie, zadowolenie, przestrach, chaos umysłowy, lęk — wszystko to wybucha na zewnątrz w śmiechu, chichotaniu. Zdrowy, wesoły śmiech różni się wielce od takiego chichotania, które zawsze pochodzi z przykrych wrażeń. U dzieci małych, jest to czysto nerwowy objaw podniecenia.

Przeszkody w mowie. Te się zdarzają niezmiernie często u dzieci,

młodzieży i dorosłych. Często są to objawy czysto patologiczne i nieprędko dają się zwalczyć, szczególniej często podlegają im dzieci, po raz pierwszy będące w szkole, które albo zupełnie milczą, albo też mówią ledwie dosłyszalnym szeptem — i młodzież męska wobec panienek.

Nie znoszenie wzroku, spojrzeń. Niemożliwość zniesienia wzroku na sobie, uczuwają osoby nerwowe i nieśmiałe, zmuszone do jakichkolwiek występów publicznych. Jeżeli zdołają zamknąć oczy, lub utkwić je gdzieś w przestrzeni, niemożność ta daje się pokonać. Zdarza się to też u dzieci i tak: zauważono 3-letnie dziecko, które zmieszane obecnością gości w ogródku dziecięcym — maszerowało, robiło ćwiczenia i gry, z szczelnie zamkniętemi oczami. Zwykle odznaczało się ono towarzyskością i łatwością w zawieraniu, znajomości.

Dziecko w ukryciu, nie czujące spojrzeń na sobie, staje się rozmowne i ożywione. Tego rodzaju reakcye, zostały zrozumiane przez Kościół katolicki, w urządzeniu konfesyonałów. W ten sposób, ta niewielka kratą ułatwia penitentowi akt skruchy, na któryby się nie zdobył, mówiąc twarzą w twarz z kapłanem.

To samo wrażenie powoduje, serdeczne wywnętrzenie się o zmroku.

Trudność w jedzeniu. Dzieci i młodzież objawiają często ogromne zażenowanie przy jedzeniu, gdy czują, że są obserwowane. Przestają jeść, nie są w stanie pogryźć, ani skończyć potraw, pomimo głodu. Jest to wpływ samotności i wychowania, dziecko przywykłe do jedzenia w towarzystwie starszych, nawykłe do służby, pięknego nakrycia, nie czuje się zażenowane, może jeść swobodnie. Jedzenie po kątach, bez stosownego nakrycia i otoczenia, nie może dzieci nauczyć i otrzaskać z formami towarzyskiemi.

Jest to jednak wzgląd ważny i należy więcej poświęcić mu uwagi, gdyż zażenowanie takie, przybiera często patologiczny, a zawsze ma szkodliwy dla zdrowia charakter.

Fizyczne objawy nieśmiałości daje się zauważyć zarówno u chłopców, jak i u dziewcząt, a widome są: w niezgrabnych ruchach głowy, kończyn i tułowia, w wypadaniu z rąk różnych przedmiotów, potrącaniu mebli, przewracaniu się i uderzaniu spotkanych osób.

W szkole daje się to zauważyć przy tablicy i na lekcyach rysunków i na lekcyach kreślenia.

Przykłady:

Dziew. lat 5. Chichotała się zawsze, ilekroć ktoś przyszedł do ogródka.

Chłop. lat 3. Widząc obcych w ogródku dziecięcym, wybuchał głupkowatym śmiechem.

Dziew. lat 10. Gdy miała rozmawiać z obcymi, mówiła zawsze szeptem.

Chłop. lat 12. Zamiast deklamacyi, począł się jąkać i szeptać.

Dziew. lat 5. Zapomniała wierszy, które umiała doskonale, pod wpływem spojrzeń zebranych osób.

Chłop. lat 12. Płącze się, miesza i zapomina wierszy pod wpływem spojrzeń.

Chłop. lat 5. Za nic nie będzie jadł w towarzystwie obcych.

Dziew. lat 8. Bardzo głodna, pomimo to, nie będzie jadła u obcych.

Dziew. lat 7. Choć gra dobrze, zaczyna się mięszać i fałszuje przy obcych.

Dziew. lat. 8. Nie jest w stanie szyć przy obcych.

Chłop. lat 9. Pisze zupełnie krzywo i błędnie przy tablicy.

Zbytnia pewność siebie — jest objawem wręcz przeciwnej natury, aniżeli nieśmiałości, a pochodzi często z wadliwego, wyrobienia pewności siebie.

Dziecko z natury śmiałe, albo takie, w którem pod wpływem błędnego wychowania, zbytnią śmiałość wyrobiono, rozwija niezmiernie szybko dobrą opinię o samem sobie, narzucając swoje opinie i zdania starszym od siebie.

Często zbytnią pewnością siebie, pragnie dziecko lub młodzież, pokryć zażenowanie, odwrócić uwagę od siebie, choćby kosztem bliźniego. I tu występuje szorstkie obchodzenie się ze służbą i podwładnymi.

Często jednak jest to wpływ naśladownictwa, w którym andrus uliczny wielką odgrywa rolę.

Reasumując wyniki tych badań — przychodzimy do przekonania, że chęć pokonania się, pochodzi z właściwego każdemu z nas instynktu towarzyskiego — podczas gdy nieśmiałość, pochodzi z instynktu samozachowawczego i lęku towarzyszącego pierwotnym ludziom wśród walk przedhistorycznych. Obydwie funkcye są potrzebne i należy je uwzględnić.

Chełpliwość jest wadą, przed którą strzedz dziecko należy ; od właściwego pojęcia swego ja, swych talentów i umiejętności zależy powodzenie w życiu i świecie.

Różnice płci występują :

1) W odrębnem pojmowaniu pokonywania się, gdyż chłopcy lubią się popisywać siłą, dziewczęta strojem.

2) Dziewczynki są wogóle bardziej nieśmiałe jedynie ku dojrzałości płciowej, chłopcy stają się bardziej nieśmiali.

3) Rumienienie się, częściej się zdarza u dziewcząt, aniżeli u chłopców. Ku dojrzałości płciowej, zarówno nieśmiałość, jak i chęć pokazania się wzrastają.

4) Zdrowie odgrywa wielką rolę, w tem pokazywaniu się i nieśmiałości. I tak nieśmiałość jest cechą dzieci słabowitych i nerwowych, chęć pokazywania się występuje u dzieci zdrowych, normalnych i silnych.

Anna Grudzińska.

WSPÓLNE WYCHOWANIE OBU PŁCI*)

Było to w osiemdziesiątych latach. Nowe prądy, nowe ideje ożywiały wówczas ludzi, a przedewszystkiem kobiety. Wielcy norwegscy poeci: Ibsen Biernson, Lie i Kielland, w dziełach swoich odsłaniali z jednej strony jątrzące się rany współczesnego społeczeństwa, z drugiej strony akcentowali prawo każdej jednostki, więc i kobiety do życia swojem własnem życiem. Ich słowa znalazły żywy oddźwięk w sercach tysiąca kobiet. Wszystko, co kobieta głucho przeczuwała, nie mając odwagi wypowiedzieć głośno, wszystko co ją męczyło i udręczało, zostało wypowiedziane płomiennemi słowy, przez największe duchy epoki. Teraz już nie mogła i nie powinna była kobieta pozostać dłużej cichą i być tylko biernym widzem rozwoju sprawy, — zapragnęła działać, — chciała coś uczynić, aby zdemaskować przewrotności dzisiejszego społeczeństwa, i ona chciała się poruszać, jak swobodny człowiek między sobie równymi.

Lecz, aby to osiągnąć, musiała stać się inaczej uzbrojoną, jak dotychczas, musiała dotrzeć do świata poznania i sama czerpać ze źródeł prawdy.

W Finlandyi, gdzie wykłady w uniwersytecie są bezpłatne, mają wszyscy możność, więc też i kobiety, uczęszczać na nie. Lecz by mieć z tego istotne korzyści i uzyskać obywatelskie prawa akademickie, musiały być przygotowane do uniwersyteckich studyów. Gdzież miały kobiety uzyskać to przygotowanie? Dla chłopców już od stuleci są łacińskie gimnazya; czy należy coś podobnego urządzić dla dziewcząt? Roztrząsano tę kwestyę bardzo gorliwie, jak również radzono nad przekształceniem pensyonatów na realne gimnazya. Lecz jest w biblii rada, żeby nowego wina nie wlewać do starych beczek, i była jakaś wielka prawda w tej starej przypowieści, która dawała wiele do myślenia przyjaciołom reformy wychowania. Nowem winem, nowym elementem, były kobiety, które teraz miały wykazać swój wpływ w zupełnie nowy sposób, a staremi beczkami były średnie szkoły, dla obu płci oddzielne.

Chciano zrobić nową formę, i w ten sposób powstała wspólna szkoła dla obu płci. Zwolennicy reformy zrozumieli, że największem złem dzisiejszego społeczeństwa jest to, że mężczyźni i kobiety są pod duchowym względem tak dalecy od siebie, że ich interesy, ich sposób i rodzaj sądzenia o najważniejszych zjawiskach życiowych są tak w zupełności różne. Pewna różnica może być interesującą, nawet korzystną, bo życie staje się przez to bogat-

*) Referat odczytany w Sekcyi naukowej berlińskiego kongresu i na zgromadzeniu ogólnego austr. Związku kobiet 28 czerwca b. r.

szem w barwy i odcienie, lecz ta rozmaitość nie powinna iść tak daleko, żeby wszystko, co jedna połowa ludzkości znajduje wielkiem, pięknem i wzniosłem, było dla drugiej połowy obojętnem, wszystko, co jednej połowie sprawia mękę i gorzkie cierpienie, było dla drugiej połowy tylko przyjemnem przepędzeniem czasu i rozrywką. Lecz gdzież można znaleźć źródło tego tak różnorodnego pojmowania życia? Przeważnie w separatystycznem wychowaniu płci, w tej przewrotności, że chłopcy od dziewięciu lat życia są pod wpływem tylko męskich nauczycieli i kolegów w szkole. W separatystycznej szkole zaczyna dorastający chłopiec uważać siebie prawie jako środowisko wszechświata, a w dziewczętach widzi tylko dodatkową osobę, przedewszystkiem płciową istotę bez samocelu.

Zwarła się mała gromadka odważnych kobiet i mężczyzn, którzy byli przeniknięci temi nowemi myślami i wskutek ich energicznych usiłowań powstała pierwsza wspólna szkoła w Finlandyi już w roku 1883. Wtedy wniknął w życie nowy czynnik w systemie wychowawczym młodzieży i przygotowuje swój pochód zwycięzki. Coraz więcej powstawało nowych szkół i koło ich przyjaciół z każdym rokiem się rozszerzało. W jednym roku, w r. 1895 założono ich 9, a teraz jest ich wogóle 45 w całym kraju. Ilość nowozałożonych przez ten czas łacińskich i realnych gimnazyów jest 7 razy mniejszą. Do wspólnych szkół uczęszcza rocznie około 5300 uczniów, 20 z nich już dostarcza słuchaczów uniwersyteckich. Liczba młodych ludzi, którzy uzyskali świadectwo dojrzałości, dochodzi do 1200 a z tych 624 kobiet.

Szczególnie warto zauważyć, jak cicho i spokojnie wspólne szkoły zmodyfikowały stopniowo pojęcia najskrajniejszych przeciwników. Przeciwników bowiem było bardzo wielu. „Ja nigdy nie dam mojej córeczki do wspólnej szkoły“ — mówiła pewna młoda matka zupełnie stanowczo — i „Boże zachowaj mego syna od tego“ — deklamował pewien ojciec — a po paru latach siedziały jednak te dzieci obok siebie w szkole. Właśnie ten zwrot w ogólnej opinii mówi więcej jak każdy inny dowód za doskonałością i naturalnością wspólnego wychowania. Wspólnej szkoły nie należy inaczej uważać jak za dom rodzinny, ona dąży do osiągnięcia największego podobieństwa do ideału rodziny. Ona stara się budzić zaufanie między nauczycielami i uczniami i wpoić uczucie solidarności jak między nauczycielami, tak i między kolegami. Dzieci nie siedzą rozdzielone według płci, jak chłopi w kościele, lecz są pomieszane z sobą. Personal nauczycielski składa się z kobiet i mężczyzn z równemi prawami i obowiązkami i w ten sposób ma wpływ zarówno ojcowski jak i macierzyński pierwiastek, od pierwszej do ostatniej klasy. Rozumie się samo przez się, że obecność nauczycieli i nauczycielek, jak w wykładowych tak i wolnych godzinach dużo wpływa na życie w szkole Nauczający muszą swoje zachowanie się dokładnie wypróbować i dużo się sobą zajmować. Męzcy nauczyciele tracą swoją surowość i grubiaństwo względem

chłopców a nie przemawiają też do dziewcząt z tym półsłodkawym, wpółuprzejmym tonem, którego tak chętnie używają na pensyach.

W oddzielnych szkołach dla chłopców, lubią też nauczyciele bardzo robić ironiczne uwagi o dziewczętach, przezco naturalnie już w młodych latach wszczepia się w chłopca lekceważenie kobiety. Coś podobnego, rozumie się nie może mieć miejsca we wspólnej szkole. Stosunki między płciami robią się naturalnymi i koleżeńskimi. Dziewczęta nie stawiają chłopców na piedestał i nie wyobrażają sobie, że ci posiadają niewyczerpaną skarbnicę mądrości, gdyż z każdym dniem przekonywują się, że są rozsądni zarówno jak i głupi chłopcy. Ich wzajemne rozmowy mają zupełnie inny charakter od tej powierzchownej konwersacyi, jaka bywa zwykle między młodymi ludźmi separatystycznych szkół. We wspólnych szkołach prowadzą się dyskusye i często są rozbierane bardzo głębokie i ciekawe kwestye życiowe, co nie przeszkadza jednak, że prawdziwi przyjaciele młodzieży, także zostawiają im czas na żarty i zabawy. Można sobie wyobrazić, ile krańcowości, jednostronności i uprzedzeń zaciera się przez to codzienne, wzajemne obcowanie i o ile bogatszym się robi cały ideowy światopogląd. Pewien młody człowiek, który ukończył wspólną szkołę, opowiadał mi, że często miał możność porównywać ze sobą chłopców separatystycznej i wspólnej szkoły. Najwięcej zwróciło jego uwagę to, że podczas, gdy pierwsi byli zawsze nieszczerzy i zamknięci w sobie, to drudzy zachowywali się zawsze otwarcie, naturalnie, swobodnie i byli ochotni do rozmowy. Korzyść, jaką mają chłopcy ze wspólnego wychowania, jest już u nas tak powszechnie przyznaną, że już nie potrzeba więcej szczególnych dowodów, aby rodziców o tem przekonać. Wszyscy dodają, że ich synowie przez to wychowanie zrobili się o wiele delikatniejsi i względniejsi, że ich mowa stała się zupełnie inną. Uczą się oni już w młodych latach, co mężczyznom dotychczas było tak trudnem, a mianowicie: widzieć i poważać w kobiecie równorzędną istotę. Lecz także i dziewczęta wiele się uczą od chłopców, uczą się odwagi, samodzielności i panowania nad sobą, wstydzą się płakać nad drobnostką. Zaczynają uprawiać dużo sportu, poruszają się na świeżem powietrzu więcej jak to zwykle dziewczęta robią, i zaczynają zachęcone przez chłopców układać plany na przyszłość. A przedewszystkiem uczą się obie płci lepiej wzajemnie znać i rozumieć. Jest przecież dobrym kierunek, który dopomaga do duchowego zbliżenia się obu płci.

Mniemania o uzdolnieniach kobiety bardzo się zmieniły dzięki wspólnej szkole. Dawniej było prawie pewnikiem, że dziewczęta nie pojmują matematyki, to zdanie jest już dawno przestarzałem. Postępy w tym zakresie nie mogą wcale być sądzone podług płci. Tak też jest i z innemi przedmiotami. Historyą naprzykład interesują się obie płci bardzo, lecz mierzą przecież zdarzenia rozmaitemi miarami. Historya wojen z ich okropnościami i niesprawiedliwościami zajmuje właściwie dziewczęta bardzo mało, lecz mają one

otwarte oko dla etycznych i społecznych kwestyj. Czyż nie jest to szczęściem? Czyż nie musimy przyznać, że dotychczasowy rozwój ludzkości był dosyć jednostronnym. Również jednostronnem było dotychczas przedstawienie wypadków historycznych w podręcznikach. Gdy kobieta je zupełnie inaczej widzi i sądzi, to czyż nie odkryją się przez jej udział w duchowem życiu nowe drogi dla rozwoju? Chłopcy biorą wszystko w wielkich zarysach i nie widzą niekiedy drzew w obec lasu, dziewczęta przeciwnie więcej myślą o szczegółach i interesują się detalami. Nie można jeszcze twierdzić, czy to zdolność wrodzona, czy też dziedzictwo poprzednich pokoleń. Może to tylko rezultat dotychczasowych odmiennych zakresów działania obu płci.

Ponieważ chłopcom był zawsze zewnętrzny świat otwartym, to w nich rozwinęło pewną chęć do badań i dało im zdolność do sądzenia o realnym świecie. Wiele się zajmowali naprzykład przyrodniczemi doświadczeniami i wykazali wielki zapał do zbiorów. Dla kobiety był wielki barwny świat zapieczętowaną księgą i z tego powodu zwróciła ona więcej uwagi na życie wewnętrzne i tę skłonność wykazują już małe dziewczęta we wspólnych szkołach. Czy to zawsze tak będzie, nie możemy wiedzieć. Lecz gdyby ta różnorodność była nawet prawem natury, to nie ma co żałować. Przecież płeć żeńska ma zawsze wychowanie przyszłego pokolenia w swych rękach i potrzebuje do tego wewnętrznego oka, klucza do wewnętrznego życia.

Początkowo twierdzili przeciwnicy wspólnych szkół, że w nich o wiele mniej wymagają od chłopców niż w separatystycznyęh szkołach, że oni tam otrzymują o wiele mniej wiadomości. Na to było wykazane, że ponieważ obie szkoły mają jeden cel, to jest wprowadzenie do uniwersytetu, to przecież wzmagania muszą być te same i wtenczas zbierano też statystykę cenzur ze separatystycznych i wspólnych szkół i rezultaty zawsze mówiły na korzyść tych ostatnich. Ten udowodniony fakt jest po większej części rezultatem kobiecego wpływu. Dziewczęta właśnie pracują bardzo sumiennie, może nawet niekiedy za sumiennie, a chłopcy wstydzą się pozostać w tyle.

Lecz jak jest ze zdrowiem dziewcząt, czy nie tracą zdrowia przez tę męczącą pracę myśli? Zdrowie dziewcząt jest wogóle doskonałe i gdy się je porówna z uczenicami pensyi, lub z młodemi damami towarzystwa, które nie mają regularnej roboty, to można nawet powiedzieć, że zazwyczaj pomyślniej się przedstawia. Zdarza się niekiedy, że młoda dziewczyna musi porzucić szkołę, lecz tu można zwykle gdzieindziej znaleźć przyczynę. Rodzice naprzykład prowadzą wielki dom i pozwalają córce przyjmować za dużo udziału w towarzyskiem życiu, późno w nocy bywać na balach i w teatrach. Albo się mówi o biednej dziewczynie, która niema ani zdrowego, dostatecznego pożywienia, ani spokojnego kąta w rodzicielskim domu. Lecz takie przykłady znajdujemy wszędzie, także w ludowych szkołach. Niekiedy jest to prawie śmieszne patrzeć, jak trwożliwi przeciwnicy wspólnych szkół nagle się tro-

szczą o zdrowie płci żeńskiej. Ci sami przecież mogą bardzo spokojnie patrzeć na przechodzące tysiące wymęczonych fabrycznych robotnic nie zapytawszy się o siły biednych matek i ich dzieci, co muszą przeżyć za nędzną zapłatę nadmiernie długi dzień pracy.

Lecz czy nie dochodzi tu często do miłosnych stosunków między młodymi ludźmi obu płci, czy nie uprawia się tu wiele flirtu? Dowiadywałam się co do tego punktu, jak u personalu nauczycielskiego, tak i u byłych uczniów, wszyscy mnie zapewniali, że nic podobnego nie zauważyli. Stosunki się ułożyły jak między członkami dobrej rodziny. Chłopcy i dziewczęta czuli się jak bracia i siostry. Opowiadają bardzo pocieszną historyę o jednym małym chłopcu, który w dzień swoich urodzin miał przyjmować u siebie gości: „Ale mamo — prosił on — ja chcę zaprosić także prawdziwe dziewczynki". „Które są prawdziwe?" — zapytała się matka. „To są naturalnie dziewczęta z pensyi."

Chociaż podniosłam tyle zasług wspólnej szkoły, muszę jednak dodać: Nie jest ona zaczarowaną różczką do usunięcia wszystkich zboczeń i niesprawiedliwości. I tu się zdarza jak w innych zakresach, że litera jest martwą, a tylko duch ożywia. Wspólna szkoła jest piękną, dobrą formą, lecz do niej należy się z konieczności odpowiednia treść. Te szkoły, aby przyniosły spodziewaną korzyść, muszą być nadzwyczaj dobrze prowadzone i przedewszystkiem zależy ich los od osobistości kierowników. Jest tu znowu analogia z rodziną, gdzie również cały porządek, spokój i harmonia, zależy od pani domu i od jej kierownictwa.

Wspólna szkoła bez kobiecych sił nauczycielskich i bez wybitnej przełożonej, będzie karykaturą. Na szczęście mamy w Finlandyi takie dzielne kierowniczki z otwartem spojrzeniem na całość i na każdy drobiazg, z wielkiem macierzyńskiem sercem. Jedną z nich jest przełożona Lucina Hoffman w Helsingforsie. Ona poświęciła cały swój czas i całe swe życie tej idei, i przez swe dzieła i swą działalność, jako przedstawicielka jednej z najwięcej uczęszczanych wspólnych szkół, bardzo wiele się przyczyniła do popularyzacyi tego systemu. Ona została zaproszoną na berliński kongres, aby przedstawić swoje doświadczenia, a ja jestem tu tylko jej słabą zastępczynią, gdyż ona sama nie mogła przybyć. Lecz ona jak i wszyscy przyjaciele wspólnego wychowania płci, cieszy się bardzo z tego, że ta kwestya jest roztrząsaną i spodziewa się, że idea ta także przeniknie do środkowej Europy. Wiemy dobrze, o wiele to cięźej w krajach ze starą kulturą, z ich tradycyą i uprzedzeniem wprowadzić w praktykę nową ideję, lecz z drugiej strony wiemy, że gdy raz wielkie morze się wzburzy, to fale jego tak wysoko się podnoszą, że już nie można się im oprzeć.

Dr. Maikki Triberg (Helsingfors).

WYŻSZE WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIET.

Tak zatytułowaną książkę dr. Eugeniusza Dühringa wydała w przekładzie polskim warszawska Biblioteka Samokształcenia. W przyznaniu (na które zwrócić należy uwagę) iż książka ta, powstała z odczytu autora wygłoszonego w r. 1876 w Berlinie, a wydana w oryginale w r. 1885 i zawierająca dziś jeszcze dużo rzeczy uwagi godnych, na które społeczeństwo nasze dotąd mało zwraca uwagi, mamy jeden jeszcze przyczynek (z tysiąca) do obrazu naszej kultury.

Rzeczy nowych dr. Eugeniusz Dühring nie mówi. Gdy wygłaszał je w Niemczech przed laty trzydziestu, były one zapewne dla słuchaczy nowemi. U nas wygłaszano (zwłaszcza w warszawskich tygodnikach postępowych) niejednokrotnie sądy podobne do wyrażonych w książce Dühringa. Przeszły one jednak, jak wogóle sądy w prasie wypowiadane, po powierzchni świadomości ludzkiej, u niektórych osobników pozostały w pamięci, u innych spłynęły w niepamięć. Toteż dobry zrobiła wybór Biblioteka samokształcenia przemawiając w sprawie w nagłówku wymienionej, książką, istotą bardziej natrętną i wytrwałą, mniej się nadającą do zawijania ciastek, a więc bardziej trwałą.

Dr. Dühring jest zwolennikiem zupełnego równouprawnienia kobiet. Sądzi on, iż należy uważać za oznakę tworzenia się wyższej cywilizacyi fakt, że dążenia kobiet do wyzwolenia się z pod społecznej, materyalnej, opieki zyskują jednocześnie na idealnej sile i dobitności. W książce swej rozpatruje on jedną tylko kwestyę w skład ogólnej kwestyi kobiecej wchodzącą kwestyę wyższego wykształcenia z a w o d o w e g o kobiet. Na tem zwężeniu zakresu praca zyskuje dużo. Powody zmuszające kobiety do garnienia się do zawodów praktycznych, dających c h l e b, są ogólnie znane. Wykształcenie, jakie w nich osiąga kobieta, odpowiada wymaganiom przeciętnym zawodu. Wyższe aniżeli tego zawód wymaga, wykształcenie przypada w udziale nielicznym jeno jednostkom, obdarzonym pędem do pracy nad sobą. Ogół ma zapewnione wykształcenie tylko w ramach zawodu. Toteż podniesienie z jednej strony wymagań naukowych zawodu, a z drugiej otworzenie przystępu kobietom do zawodu, w wykształceniu wyższem, podniesie poziom wykształcenia kobiet.

Z tych zawodów o wyższych wymaganiach pod względem wykształcenia bierze Dühring dwa tylko pod uwagę: zawód lekarski i nauczycielski, których adepci przygotowują się na wydziale lekarskim i filozoficznym uniwersytetu. Znaczenie pracy kobiet w tych dwóch zawodach omawia D. Pominął teologię i wydział prawny. Co do teologii podaje bardzo słuszne motywy:

„od dążących naprzód kobiet najmniej można się spodziewać zboczenia w stronę kapłaństwa“.

Abstrahowania zaś swojego, od prawa i możności udziału kobiet w studyach prawnych nie motywuje wcale. Niepochodzi ono prawdopodobnie z jakiegoś filisterskiego względu. („Jak też panie śmiesznie wyglądałaby panna Wanda w birecie? he! he! panie dobrodzieju“) lecz dlatego, ponieważ autor chce mówić o zawodach, do których kobiety częściowy dostęp już dostały.

Mówi więc tylko o medycynie, i filozofii. Rozpatruje nasamprzód kwestyę uzdolnienia. Uważa kobiety za stanowczo zdolne do nauczania i leczenia ludzi. Przeciwnicy zarzucają zazwyczaj, iż mało było kobiet genialnych Tłumaczy to Dühring nieznacznym ich udziałem w dotychczasowem tworzeniu kultury, wskazuje na to, iż ludzkość wogóle garstkę tylko wydała geniuszów, a nakoniec powiada panom świata przybierającym miny kapłańskie przy wypełnianiu obowiązków zawodowych: „...nie od rzeczy będzie tu zwrócić przedewszystkiem uwagę nato, że właściwie mówiąc geniusz, czyli zdolność tworzenia czegoś rzeczywiście nowego, nie jest zupełnie potrzebny do przeciętnego wywiązywania się zobowiązków nauczyciela lub lekarza... Przeciętny lekarz i przeciętny nauczyciel dadzą się wyrobić z wszelkiego materyału, byleby tylko był czynny odpowiedni mechanizm“.

Uwagi bardzo słuszne. Obecnie jednak, gdy już dopuszczenie kobiet do spełniania obowiązków lekarskich i naczycielskich jest faktem, nawet w tej, oto arcyreakcyjnej Austryi, gdy już setki kobiet niosą pomoc lekarską ludzkości, uwagi te są wyważaniem otwartych drzwi. Niechaj jednakże dojdą do uszu tych, których istniejący już fakt nie przekonał; może siła ich będzie skuteczniejszą.

O znaczeniu kobiet lekarek mówi Dühring obszernie i rozsądnie. Na przytoczenie zasługuje dobrze podchwycony przez niego szczegół: „Często spotkać się można ze zdaniem, że jest niewłaściwem lub niebezpiecznem, aby słuchacze obu płci byli obecni razem i jednocześnie na pewnych wykładach; ci sami jednak profesorowie, którzy ten pogląd wygłaszają, lub inni wyznawcy tego tak dziwnie w sprzeczność popadającego ducha starych przesądów, mówią z pobłażliwym uśmiechem o oddawaniu posług lekarskich kobietom wszelkiego wieku przez lekarzy — mężczyzn również wszelkiego wieku i w tem niedostrzegają nic nieprzyzwoitego“. By ostatnim słowom cytaty nie ściągnąć na Drühringa zarzutu filisterstwa zaznaczam, że nie chodzi mu o jakąś karmelkową przyzwoitość, lecz o to, iż „wszelką zbyt blizka styczność lub zbyt poufne zwierzenia działają na obie strony (lekarza i kobietę) podniecająco, a przynajmniej wymagają dla zapanowania nad sobą ciągłego natężenia w okolicznościach, w których właśnie jaknajwiększa szczerość

i nieskrępowanie w komunikowaniu wszelkich faktów, pozostających w jakimkolwiek związku ze zdrowiem cielesnem lub duchowem są konieczne". Bardzo często spotyka się w kołach lekarskich jako argument przeciw kobietom lekarkom wskazanie na ich słabość fizyczną. Wskazawszy na usługi oddawane ludzkości przez kobiety jako dozorczynie chorych wypowiada Dühring zdanie warte zapamiętania:

„Nigdy nie wahamy się, gdy idzie o zwalenie na kobiety największych ciężarów i przywykliśmy ją uważać za przeznaczoną do ich znoszenia. ...Zdejmujemy jednak ze wzruszającą troskliwością z jej pleców ciężar tych wszystkich zadań, których spełnianie związane jest z samodzielnem życiem i mówimy nieraz z głębokiem przekonaniem że do podejmowania takich darzących samodzielnością obowiązków, kobieta jest zbyt słaba".

Zawód lekarski rokuje kobiecie zdaniem Dühringa wielkie nadzieje. Przechodząc następnie do kobiety nauczycielki poddaje druzgocącej krytyce system stosowany w szkołach średnich i na uniwersytetach. Oskarża z zapałem, a przyznać należy i ze znajomością rzeczy. Sam będąc przez lat 14 docentem uniwersytetu (później został napędzony przez „uczonych" panów za śmiałość w krytykowaniu ich), miał dostateczną sposobność i możność poznania systemu nauczania. Aczkolwiek krytyka ta wypowiedzianą została przed laty 30-tu nie straciła ani o jotę na znaczeniu. Te ustępy książki, w której Dühring mówi o szkołach, są najświetniejsze, odznaczają się największą ilością głębokich argumentów. „Nie kobieta więc, konkluduje Dühring, jest niezdolną do studyów naukowych, ale system tych studyów jest tego rodzaju, iż zdolności kobiet są raczej zbyt silne aby znieść były w stanie przestarzałe sposoby nauczania i nieodłączną od niego mglistą paplaninę"

Kobiety jako żywioł nowy, świeży, który nie przeszedł jeszcze przez tę straszną tresurę, jaką jest szkoła współczesna, (w której uczy się łaciny i greki na uniwersytecie, ponieważ w szkołach średnich języki te są wbijane uczniom w głowy, a w szkołach średnich maltretuje się uczniów nauczaniem języków-martwych, ponieważ upierają się przy tem nauczyciele), — powinny być pierwiastkiem rozsadzającym stary system. „Względem zardzewiałego, paczącego umysły szkolnictwa, którego skutki praktyka dnia codziennego ujawnia coraz dobitniej, winny kobiety, skoro tylko wstępują one na drogę nauki i jej zastosowań, stać się przedstawicielkami nowoczesnych dążeń do przekształcenia naukowego świata i stawiać opór opacznym uroszczeniom z jakiemi świat ten do nich się zwraca". Wzrost udziału kobiet w studyach filozoficznych na uniwersytecie czyni Dühring zależnym (zupełnie słusznie) od zapotrzebowania, od wzrostu ilości szkół średnich dla kobiet przeznaczonych. Chcąc powiększyć to zapotrzebowanie radzi dawanie posad w szkołach

żeńskich tylko kobietom. „Tylko bowiem kobieta wykładać i wyjaśniać może kobiecie pewne kwestye w sposób naturalny i nieskrępowany, tylko kobieta może oddziaływać w sposób normalny na rozwój uczuciowych stron duszy uczenicy“, mówi Dühring. Wobec wyników prób koedukacyi, przy których czynne były siły żeńskie nauczycielskie tak, jak i męskie, pogląd ten nie ma obecnie racyi bytu.

Z krytyką istniejących systemów szkolnych łączy się plan szkół nowych, w których zwróconą będzie w pierwszym rzędzie uwaga na naukę o rzeczach. Zanim jednak nastąpi urzeczywistnienie tego planu radzi Dühring samokształcenie, co do którego wiele uwag wypowiada.

We wstępie do książki przecenia D. Rojtman znaczenie Dühringa w nauce. Po bardzo dającej się odczuć Dühringowi a bardzo poważnej krytyce całokształtu jego poglągów dokonanej przez Fryderyka Engelsa w podstawowem jego dziele: Herrn Dührings Umwälzung in der Wissenschaft, nie można mówić, „o głębokiem pojmowaniu przyrody, szerokim poglądzie na zagadnienia społeczne“ i t. d.

Występując przeciw tworzeniu legendy Dühringowskiej, zaznaczyć z drugiej strony muszę, iż omówiona książka zasługuje, by znalazła się w rękach jaknajszerszej publiczności. Przekład p. Stanisława Brzozowskiego jest, jak wszystko, co wychodzi z pod pióra tego wybitnego publicysty, doskonały.

Karol Radek.

POGLĄD

Związku Międzynarodowego dla zwalczania państwowej reglementacyi prostytucyi, na karygodność tego przestępstwa.

W jesieni bieżącego roku od 22 do 24 września odbędzie Związek po raz pierwszy Kongres międzynarodowy w Drożnie. Ważne te obrady, będą pod pewnym względem miały stanowcze znaczenie dla postępu naszej sprawy. Związek walczy w Niemczech z wielkiemi trudnościami. Fakt, iż siedziba Związku jest za granicą, że jest on międzynarodowy, i że tytuł jego w trzech napisany jest językach, przyczynia się do jego niepopularności.

Federacya musi jednak pokonać głębsze jeszcze aniżeli wymienione, powierzchowne przeszkody. A stanowi je opór i niedowierzanie owych kół, które powinny być naturalnymi sprzymierzeńcami Federacyi, jak są nimi we Francyi, Holandyi, stowarzyszenia moralności, opieki nad młodzieżą i t. d. Od stowarzyszeń tych dzieli Związek w Niemczech różnica zasadnicza, stanowisko w kwestyi: Czy prostytucya jest przestępstwem karygodnem?

Potwierdzającą na to pytanie odpowiedź, dał ksiądz Weber na konferencyi stowarzyszeń moralności, oraz stowarzyszenia ochrony młodzieży. Federacya daje odpowiedź przeczącą. Trudnem więc jest stanowisko Zwiazku w Niemczech. Kto nie zajmował się gruntownie tą sprawą, tak teoretycznie jak i praktycznie, temu spodoba się zdanie, że państwo nie powinno tolerować prostytucyi, tej wstrętnej, najbardziej poniżającej ohydy ludzkości, iż powinno ją zakazać i karać ją jak przestępstwo.

Przyznaję się, iż na tem samem stałam stanowisku, zanim sama nie nabyłam dostatecznego doświadczenia.

Pracą praktyczną i długiem myśleniem doszłam do poznania niemożliwości zrealizowania tego żądania i przyłączyłam się do Związku.

Ponieważ na najbliższym kongresie ta właśnie kwestya będzie osią obrad, przeto uważam za potrzebne i konieczne, sprawę tę przedtem w ramach naszego stowarzyszenia omówić i przedyskutować, aby wyjaśniły się wszelkie wątpliwości, które panować mogą między członkami, i aby inaczej myślący mieli sposobność swe wątpliwości i argumenty przytoczyć.

Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego federacya nie uważa prostytucyi za karygodne przestępstwo, należy zbadać tak praktyczną jak i teoretyczną stronę tej kwestyi.

Jeżeli prawnik chce wyjaśnić sobie, czy dany czyn jest karygodny czy nie, to musi uprzednio stworzyć dobrą definicyę tego czynu. Podano następującą definicyę prostytucyi. Prostytucya jest to oddanie się kobiety wielu mężczyznom bez wyboru, za zapłatą. Na podstawie tego poglądu uważa prawo niemieckie prostytucyę jako przewinienie popełniane przez kobietę i karane przez policyę, o ile wskutek polecenia i opieki policyjnej nie jest ona rzemiosłem. Stowarzyszenia moralności oraz kierunku „Bieber-Böhme“ zgadzając się z nami w odrzuceniu państwowego pozwolenia i reglementacyi, żądają od państwa pozostania na stanowisku definicyi t. j. zakazu nierządu i kary na prostytucyę (dla osób pełnoletnich). W praktyce byłoby to nałożeniem kary na żeńskiego współwinnego, gdyż według pojęcia ustawy tylko kobieta zawodowo trudni się nierządem.

Federacya stoi na zasadniczo innem stanowisku; zerwała ona z sofistyką owej definicyi prawnej, która w prostytucyi widzi tylko przewinienie kobiety, i definiuje prostytucyę jako akt, na który składa się czynność dwóch osobników; akt ten składa się więc z oddania się za zapłatę kobiety na żądanie mężczyzny (Preisgabe-Beiwohnung). Wielką wagę przywiązuje federacya do zaznaczenia i położenia nacisku na obustronną odpowiedzialność za wspólnie dokonany czyn. Wskazuje ona wyraźnie, iż bez współudziału mężczyzny kobieta nie mogłaby prostytuować się. Potrzebie zadowalania popędu płciowego mężczyzny odpowiada podaż kobiet chcących sprzedać swe ciało; potrzebie zarobku kobiety, odpowiada zaofiarowanie pieniędzy przez mężczyznę. Sam fakt zaofiarowania z jednej strony nie jest jeszcze prostytucyą; ona bowiem wymaga wspólnej woli dwóch osób. Kto o tym fakcie zapomina, i mając tylko na uwadze kobietę, mężczyzny w rachubę nie bierze, staje w sprzeczności z faktami i ideą sprawiedliwości, uznaje moralność podwójną i podwójne prawo dla mężczyzny i kobiety.

Musimy zbadać, dlaczego przy tym współdziałania wymagającym akcie, kobieta sama uznaną jest za część winną, a więc pogardy i kary godną. Powiedzą nam, iż tylko kobieta z rozpusty czyni rzemiosło, podczas gdy mężczyzna tego nie robi i że na tem polega zasadnicza różnica. Argument ten jest dla wielu ludzi, co głębiej nie zastanawiali się nad związkiem stosunków społecznych, których wynikiem jest prostytucya, w pierwszej chwili zupełnie dostatecznym. Jest to jednak, po rozwadze, marny sofizmat. Prostytucya uważana ogólnie za rzemiosło, rzemiosłem nie jest. Rzemiosłem można się zajmować bez współudziału drugiego, rzemiosło produkuje; jedna i druga okoliczność wykluczoną jest przy prostytucyi. Jest ona raczej handlem, zamianą między kupcem a kupującym. Obaj stoją przy przystąpieniu do umowy na równym poziomie. Jakkolwiek wyżej społecznie stać może mężczyzna, wówczas spada do poziomu prostytutki. Bez jego współudziału nie dokonywałby się akt prostytuowania się jej, dlatego ze stanowiska logiki i sprawiedliwości słusznem jest, aby i on przyjął na się połowę moralnej i prawnej odpowiedzialności. Jeśli czyn ten jest karygodny, to oboje karze podlegać winni; jeśli nim nie jest, oboje wolni być winni.

Kto w stosunku tym bierze pieniądze, jest rzeczą obojętną. Kultura nasza uczyniła pieniądz środkiem zamiennym przy wszelkiego rodzaju stosunkach handlowych, a fakt, iż mężczyzna pod względem gospodarczym lepiej od kobiety stoi, daje mu w tym stosunku rolę kupującego.

M ę s k a p r o s t y t u c y a n i e i s t n i e j e, ponieważ nie było dotąd na nią ze strony kobiet popytu.

Kto jako kryteryum winy i karygodności podaje charakter prostytucyi jako „rzemiosła", t e n z a p o m i n a z u p e ł n i e o s p o ł e c z n y m c h a r a k t e r z e z ł a, o jego organicznym związku z naszą kulturą i ustrojem społecznym.

Prostytucya nie jest zjawiskiem izolowanem, nie jest tylko wynikiem zbrodniczości pewnych indywiduów, które za to odpowiadać mają; dla każdego, kto zgłębił ten skomplikowany problem, jest ona produktem wspólnego przewinienia (jeżeli o wyniku stosunków społecznych mówić można z miarą „winy" na ustach — Przyp. Red.), całego społeczeństwa, które zrzuca je, siebie uniewinniwszy, na nieszczęsną kastę paryasów, która r a c z e j w s k u t e k n ę d z y i b i e d y, braku wychowania a często dziedzicznego obciążenia, aniżeli wskutek własnego wyboru popadła w tę dolę. Niebywałą niesprawiedliwością jest na nie zwalać odpowiedzialność, karę. P o d w ó j n a m o r a l n o ś ć staje się wskutek tego podstawą prawa na polu seksualnem, przezco staje się ona wzorem dla moralności całego ludu. Federacya, kładąca nacisk na konieczność stworzenia jednej moralności, odrzuca przeto prawne ściganie prostytucyi.

Wychodząc ze stanowiska, iż prostytucya jest organicznym błędem współczesnej kultury, sądzimy, że zwalczanie jej jest możliwem tylko zapomocą jaknajgłębszych reform społecznych. P o l i c y a i s ą d y k a r n e nie wyzwolą kobiety od zawisłości społecznej i gospodarczej, która rok w rok wpędza tysiące kobiet w ramiona prostytucyi. Dopokąd społeczeństwo nie da robotnicy wystarczającego do życia zarobku, dopóki państwo nie da jej praw politycznych, umożliwiających jej walkę wspólną z mężczyzną o ludzki byt, jak długo społeczeństwo nie chroni małoletniej dziewczyny przed zepsuciem w wieku, gdy jest dla mężczyzn najponętniejszym kąskiem, a więc w 16-tym roku życia, dopokąd dziewczęta od 14 do 16 lat tak mało mają opieki, iż może je każdy rozpustnik rzucić na drogę występku, skoro tylko wzbudzi podejrzenie, iż nie była bez skazy, tak długo musimy z całą stanowczością odmówić państwu prawa karania żeńskich ofiar prostytucyi.

Stosunki są następujące: jeżeli istnieje dziewczę, które miało nieszczęście urodzić się w takiem otoczeniu, iż już w 12-tym roku życia jest do głębi zepsute, to każdy ma prawo b e z k a r n i e pchnąć je głębiej i zapłatą uczynić zeń prostytutkę. Gdy dziewczyna taka, która nie mając zapewnionego bytu m u s i się stać prostytutką, dosięgnie wieku, w którym jest odpowiedzialną wobec prawa, to zostaje odpowiedzialną moralnie i prawnie za skutki czynów swoich i współdziałającego. S p o ł e c z e ń s t w o, n a k t ó r e g o b a g n a c h t e n k w i a t w y r ó s ł, r o ś c i s o b i e n a g l e p r a w a d o o c h r o n y p r z e d d z i a ł a n i e m j e g o j a d u.

W miastach niemieckich, w których niema reglementacyi, a więc w Ulm, w Colmar, Tübingen, nie podlegają prostytutki jurysdykcyi policyjnej, lecz sądom. W miastach tych są mężczyźni świadkami w sprawach na ławie oskarżonych, osądzanych dziewcząt. Pewien przysięgły powiedział: „Pięść zaciskam z wściekłości, gdy słyszę zeznania świadków mężczyzn, często żonatych, w sprawach młodziutkich dziewcząt, które o wiele mniej winne są popełnienia zarzuconych im czynów, niż panowie świadkowie".

Sąd staje się w takim wypadku jaskrawą farsą. Do tego dochodzi się, jeżeli się bierze jako miarę przewiny moralnej charakter zawodowy prostytutki. Moment ten, który w wypadkach gdzie nędza była źródłem czynu, powinien być okolicznością łagodzącą, a który obciąża tylko kobietę, nie dotykając rozpustnika, nie może być dla prawodawcy, który formalnie i materyalnie do sprawiedliwości dąży, miarą w osądzaniu kwestyi prostytucyi. W ten sposób powstaje p r a w o p ł c i (Geschlechtsjustiz), które obciąża w skutkach wspólnie dokonanych czynów, w materyalnej i moralnej nędzy się znajdującą żeńską część, na korzyść męskiej, wyzyskującej bez miary i sumienia to położenie. Takie ustawodawstwo jest prostem b e n e f i c i u m l e g i s dla mężczyzn. Federacya wystąpi przeciw temu, by takie „beneficium legis" stało się zasadą prawną kodeksu karnego.

F a k t y c z n i e i s t n i e j e j u ż o n o w e w s z y s t k i c h k o n t y n e n t a l n y c h k r a j a c h w s k u t e k z b u d o w a n e g o n a s a m o w o l i a d m i n i s t r a c y j n e j s y-

stemu reglementacyi. System ten jest wszystkim znany. Podstawowa nierówność w traktowaniu kobiety i mężczyzny, która go cechuje, zdeprawowała wzajemny stosunek obu płci, rzuciła cień pełny grozy na całe życie płciowe kulturnej ludzkości.

Dążeniem naszem jest, usunąć ten system; nie chcemy widzieć, jak uczynienie go prawem uwieczni jego brutalność i niesprawiedliwość.

Usunąwszy argument o prostytucyi jako rzemiośle, musimy się zająć argumentem drugim, mówiącym, iż mężczyzna różni się pod względem fizyologicznym od kobiety. Dla niego jest w pewnych warunkach prostytucya koniecznością, u kobiety zaś jest zawsze dowodem zbrodniczości i przewrotności, a więc powinna być inaczej ocenianą tak prawnie jak i moralnie. Ludziom, takie podnoszącym zarzuty, można wytłumaczyć brak logicznej podstawy tylko wówczas, jeżeli się stanie na ich stanowisku. Należy powiedzieć: Słusznie, prostytucya jest potrzebą mężczyzn, a więc koniecznością społeczną, dlaczego więc potępia się kobietę, która odpowiada tej konieczności. Nie oddaje się ona zbrodniczej rozpuście, lecz wypełnia nawet pożyteczną funkcyę społeczną i zasługuje na uznanie ze strony społeczeństwa. — Jeżeli usprawiedliwia się czyn mężczyzny, to jest to usprawiedliwieniem kobiety; jeżeli się potępia kobietę, to spotkać i mężczyznę musi potępienie, gdyż on korzysta z grzechu kobiety. Stoi przed nami błędne koło.

Poprzednie epoki historyi były przy swej większej naiwności bardziej logiczne pod tym względem. W starożytności i wiekach średnich były kapłanki płatnej miłości stanem w społeczeństwie, co prawda mniej wartościowym, ale nie pozbawionym praw, lecz mającym w całości społecznej pewne znaczenie.

Nasze wysubtelnione (coprawda zewnętrznie tylko) pojęcia o moralności seksualnej, które schodzą się z większą obłudą i hipokryzyą, wycisnęły na czole prostytutki piętno hańby; nie są one tak kulturalnie rozwinięte, aby logiczny ten wniosek wysnuć także o mężczyźnie.

Ciągle jeszcze posiada płeć męska wielkie przywileje płciowe, które jak każdy przywilej, deprawującem swem działaniem stworzyły niezmierny egoizm płciowy, będący prawdziwą podstawą wszelakiego zła na polu seksualnem. Stąd pochodzi podwójna miara dla kobiety i mężczyzny, stąd nad jedną częścią sąd surowy, a dla drugiej bezgraniczne pobłażanie! — Federacya zwalcza egoizm płciowy. Spodziewa się, iż on zniknie jako zabytek barbarzyńskich czasów, iż ze wzrostem wyzwolenia kobiety i stosunek obu płci opartym zostanie na równej moralności i równem prawie.

Otóż istnieją ludzie (przeważnie kobiety), które są tego zdania, iż zrównanie w tej dziedzinie nastąpi, jeżeli i mężczyznę i kobietę karać będzie za prostytucyę. Pomijam na razie to żądanie, które mi się praktycznie niewykonalnem zdaje. Obchodzi mię teoretyczna strona tej kwestyi: Czy ma państwo prawo tak daleco wchodzić w życie prywatne człowieka, iżby zakazać mogło osobnikowi płatnych stosunków płciowych pozamałżeńskich? Stowarzyszenia moralności mówią „tak“, federacya „nie“! Pozamałżeńskie stosunki płciowe, o ile nie mają sądom podlegających skutków, należą wyłącznie do dziedziny moralności, a państwo ma pilnować prawa, a nie moralności. Gdy prostytucya wkracza w prawa osoby trzeciej, obowiązkiem państwa jest wkroczyć; dopokąd ma ona charakter prywatny i polega na zgodzie dwójga dorosłych osób, tak długo państwo jej nie zna. W sprawach moralności żąda federacya prawa stanowienia o sobie dla jednostki. Gdyby kto myśl tę do końca doprowadził, mógłby skonstruować prawo jednostki do niemoralności. I rzeczywiście, na jednym z kongresów federacyi padło to słowo z ust członka narodowości francuskiej, lubującej się w paradoksach, zdobiących mowę. Aczkolwiek owemu mowcy, prof. Bovetowi, wcale na myśl nie przyszło, robić z tego prawo moralne, to jednak spotkał federacyę ze strony towarzystw moralności i p. Bieber-Boehm ciężki zarzut, iż federacya proklamując swobodę indywidualną, dochodzi za daleko i daje tą teoryą poparcie niemoralności.

Federacya jest zdania, iż prawdziwa moralność może być tylko własną pracą ducha przez jednostkę osiągnięta, a może kwitnąć tylko w atmosferze wolności i sprawiedliwości. Moralność stwarzana przez policyę i sąd karny, nie jest moralnością. Wolnością zaś jednostki nie jest roz-

wiązłość, lecz odpowiedzialność jednostki. Federacya wie dobrze, iż kto rozkuwa kajdany, ten musi budzić sumienia. Dlatego też spełniała to zadanie federacya od początku niestrudzenie i ze świętą powagą. W krajach anglosaksońskich i romańskich spotyka to lepsze pojęcie moralności więcej zrozumienia aniżeli w Niemczech. Nie należy się dziwić. W krajach owych a zwłaszcza w Anglii, była wolność osobista zawsze bardziej szanowaną niż w Niemczech.

Stare anglosaksońskie poczucie wolności obywatelskiej, od wieków istniejące, załatwiło się krótko systemem reglementacyjnym. W Niemczech nie rozwinął się w tym stopniu zmysł krytyczny w świadomości ludowej, ani inicyatywa jednostki; winną tego jest stara polityka „opieki" nad wszystkiem. Jesteśmy (autorka jest Niemką. Przyp. Red.) przyzwyczajeni wszystko od państwa przyjmować, pozwalamy mu wszystkie stosunki życiowe ujmować w regułki przymusu; wskutek tego wydaje się nam posiadanie wolności osobistej, którą inne narody jako najwyższe dobro cenią, niebezpieczeństwem dla ludu. Doszliśmy szczęśliwie do tego, iż uważamy państwo za nasze sumienie i zacieramy granicę między prawem a moralnością, że jednak prawo a moralność nie są zjawiskami identycznemi i identyfikować ich nie należy, najlepszy dowód, iż w konflikt z prawem popadają niejednokrotnie ludzie wielcy, poświęcenia pełni, bohaterzy, podczas gdy wyrachowani egoiści, których życie jest łańcuchem złych czynów, nie zasiadają nigdy na ławie oskarżonych, bo trzymają się litery prawa.

Pozostaje nam po tem, co powiedzieliśmy, zbadanie praktycznej strony kwestyi. Jest ona bardzo jasną. Karanie prostytucyi we wszelkich jej objawach, jak tego żądają wymienione wyżej kierunki, jest zdaniem naszem niemożliwością.

W Niemczech istnieje według obrachunku, który, jeśli się wliczy prostytucyę tajną (za niski raczej aniżeli za wysoki) **200.000** prostytutek. Pani Bieber-Boehm żąda, by one, o ile są pełnoletnie, zostały ukarane, oddane policyi i osadzone na dwa lata w reformowanych (Co za humanitaryzm! Przyp. tłum.) domach pracy. Dla małoletnich powinno prawo ustanowić obowiązkowe wychowanie. Z ostatnim projektem zgadzamy się, gdyż wszystko, co przedtem powiedzianem było o prawie stanowienia jednostki, dotyczy, rzecz zrozumiała, tylko ludzi pełnoletnich, mogących sobą rozporządzać. I aczkolwiek udowodniono, iż dwie trzecie prostytutek w wieku małoletnim schodzi na tory prostytucyi, to jednak stanowią one w branym obecnie pod uwagę stanie zaledwie małą cząstkę. Jednakowoż umieszczenie ich w zakładach państwowych nie jest pożądanem i dla olbrzymich kosztów i dla małych wyników pod względem moralnym, któreby zabraniem im wolności dały się osiągnąć. Potęga stosunków jest tak wielką, iż one wskutek kilkuletniego więzienia jeszcze bardziej bezradne, tembardziejby jej podpadły. Nie można bowiem niemoralności, wyrosłej na gruncie stosunków społecznych, zaradzić środkami przymusowymi. Można ją tylko zmniejszyć i ograniczyć przez podniesienie społecznego i moralnego poziomu społeczeństwa a zwłaszcza płci żeńskiej.

Jeżeli ukaranie kobiet-prostytutek jest niemożliwem, to karanie mężczyzn z prostytucyi korzystających jest utopią. Gdyby nawet wszystkie jej wypadki były znane, jak mogłyby je sądy załatwić?

Świat zamieniłby się w jedno wielkie więzienie, którego stróżami byliby członkowie białego krzyża.

Aczkolwiek sprawa sama jest smutną i poważną, to nie można żądania tego bez ironii traktować.

W niektórych stanach Ameryki istnieje pieniężna kara dla mężczyzn. Wytworzyła ona system korupcyi w niższych organach policyjnych, który bogatym wszystko umożliwia.

Prostytucya, jako delikt, musiałaby być uwolnioną od dochodzenia policyjnego, a oddaną sądom. Wymagałoby to ścisłego śledztwa, przesłuchania świadków, przeprowadzania dowodu i t. d.

Co za nieznośny system szpiegostwa policyjnego, denuncyacyi, ograniczania wolności byłby tego warunkiem, co za samowola musiałaby być tego skutkiem. W jaki sposób osądziłby w każdym wypadku sędzia, gdzie kończy się bezkarny stosunek, a zaczyna prostytucya? W olbrzymiej liczbie wypadków trudno jest rozpoznać granice.

Gdzie jest prokurator, który pociągnie do odpowiedzialności pokrytą dyamentami prostytutkę, lub jadącą w karecie kurtyzanę? Czyż stoją one wyżej od służącej bez zajęcia, która z dzieckiem na ręku porzuconą została przez kochanka, lub od głodem przymierającej robotnicy sezonowej, która się raz chce najeść?! Wszak obie wpadną w ramiona prostytucyi. Dziś już istniejąca „sprawiedliwość płciowa“ otrzymałaby towarzyszkę oburzającą „sprawiedliwość klasową“. Niebezpieczne to prawo; bogaci i potężni ominą je, a srogość ich poczują najuboższe i najbezsilniejsze. *Katarzyna Schewen.*

PROSTYTUCYA W NASZEJ PRASIE.

Aby odrazu usunąć nieporozumienie, któreby mógł wywołać tytuł artykułu, zaznaczamy, że nie o prostytucyi prasy pisać będziemy.., O tem może później. Obecnie omawianie prostytucyi przez prasę. Prasa galicyjska nie pisze o niej. Dla niej ta kwestya nie istnieje, nie przestała być drażliwą. Świętobliwa prasa polskiej Beocyi nie omawia wogóle „z zasady“ spraw społecznych, wychodzących po za zakres wypadków dnia. Pozostaje prasa warszawska, prasa programowa: tygodniki. Jest ich sporo. Zadaniem ich, zwłaszcza postępowych, obowiązkiem ich być winno, wyrabianie jaknajjaśniejszych poglądów na tę tak ważną sprawę, czuwanie nad tem, by frazes nie zastąpił poglądu na rzecz, by liczman nie był brany za pogląd naukowy. Na razie dwa przykłady spełnienia tego zadania:

W „Ogniwie“ stał się cud. P. Stanisław K o s z u t s k i urządził interwiew z Józefem S u p i ń s k i m, przerwawszy ciszę jego mogiły, nie rozprószoną szkicem p. Posnera, w stuletnią rocznicę śmierci Supińskiego napisanym. — A jako rzeczoznawcę powołał p. Koszutski ekonomistę za życia mało, a po śmierci wcale nieczytanego, nie aby zdał sprawę z czynności i dziejów minionej przeszłości, której był świadkiem, lecz by rzekł słów parę do głuchej publiki o „sprawach żywotnych“. I mówi ekspert: „chcę przemówić do was w sprawie, która drga bólem serdecznym tysiąca istot najbiedniejszych, która ocieka krwią ciepłą tysięcy upośledzonych, nędzę ma matką, a śmierć bolesną ukoicielką. Sprawa ta jest żywotną, bo żywych dotyczy i żyje, a jest społeczną, bo w społeczeństwie a nie w sferach międzyplanetarnych żywot pędzi“.

Jak widzimy, nie dla przypatrzenia się wystawie metalowej (acz wielkim był propagatorem uprzemysłowienia Galicyi), pofatygował się Supiński. Chce mówić o p r o s t y t u c y i, przedmiocie, o którym, z zachowania naszych dziennikarzy sądząc, mówić można tylko „pikantnie-łaskocząco“.

Supiński mówi cytatami przez p. Koszutskiego dobranymi inaczej, mówi gorąco, z żalem, niemal oskarża:

„Ani chrześcijanizm — mówiłem wam — ani nauki, ani obowiązki moralne nie mogły przygłuszyć w mężczyźnie jego przewagi zwierzęcej. Uzbrojony nią wysuwa się naprzód wszędzie, gdzie się przedstawiają korzyść lub zaszczyt, zostawiając kobietom te tylko zajęcia, które niegodnemi siebie są-

dzi... Skutkiem tej krzywdy wyrządzonej słabszej świata ludzkiego połowie, która jest przecież jego uzacnieniem i ozdobą, kobiety, a szczególnie dziewczęta, bez majątku, przymuszone są pracować 12 godzin dziennie, by się przyodziać ile tyle schludnie i przyzwoicie. Niszcząc zdrowie długim siedzeniem, te nowożytne niewolnice skazane są na inne jeszcze, niejedną cichą łzą wyciskające cierpienia, bo dość jest być biedną szwaczką, by zostać zepsutą kobietą w ustach zepsutej, rozpróżniaczonej młodzieży... I błagałem: Pomyślcież o tych zapomnianych sierotach: są one napół dziećmi jeszcze, popadają w kalectwa pracą przesiloną, w pracy ciężkiej zdążają ku smutnej starości lub za słabe, by wytrwać w walce, ulegają zepsuciu..."

Tak mówił Supiński przed laty. Słowa jego za życia były głosem wołającego na puszczy. Echem słów jego były jeno recenzye w kilku pismach fachowych, tytuł „znakomitego" przyznany mu przez reporterów prasy naszej, którzy pisma jego (jak wszystko co jest książką) z okładek znali.

Był to los zupełnie naturalny. Supiński wzywał do poprawy obyczajów, do poświęceń osobistych, mówił członkom klas posiadających, by zeszli na dół i owych w dolinach żyjących, do siebie podnosili. Szlachetna ta ideologia Supińskiego nie mogła, rzecz zrozumiała, podobać się klasom posiadającym. Dziś jeszcze, burżuazya europejska, nawet krajów najbardziej cywilizowanych jest wrogo usposobioną wobec żądania reform społecznych. Nieliczni do burżuazyi należący uczeni, socyalni politycy udowadniają jej, że reforma społeczna czyniąc klasę robotniczą zdolniejszą, silniejszą, zdrowszą i t. d., jest zgodną nawet z najbliższym interesem przemysłowców. burżua jako członek klasy, jest przeciwnikiem reformy społecznej, bo wyciąga ona odrazu pieniądze z kieszeni i... czyni klasę robotniczą odporną, przygotowuje do walki i t. d.

A to tylko ofiary materyalne. A na jaką ścianę nie oporu, lecz zabijającej obojętności trafić muszą wezwania wystosowane do klas posiadających, by one „zniżyły się" i „podnosiły" umysłowo, moralnie swych najmitów. Burżua, do któregoby się zwrócono z podobnem żądaniem, popatrzyłby słusznie na proponenta zwrokiem wyrażającym myśl: Czy przypadkiem szanowny pan nie ma zajączków w głowie?

Są w zachodniej Europie ekonomiści, którzy mówią o etycznych obowiązkach „pracodawców" i wogóle posiadających wobec klas pracujących. Prasa robi im reklamę, a jest to tasama prasa, która pochwala fabrykantów krimitschauskich, właścicieli kopalń borysławskich i t. p. Co więcej, ci ostatni mówią o etyce.

Nic dziwnego więc, że przebrzmiał głos Supińskiego.

P. Koszutski podnosi go powtórnie. Supiński był tylko marką, wyrażał zapatrywania p. Koszutskiego, który także „woła"... „I wołałem do Was, zacne panie, byście się zajęły losem tych istot nieszczęśliwych, przepędzających dnie i tygodnie całe o kilku suchych ziemniakach, by nie pokazać na zewnątrz upokarzającego niedostatku, odpierających podstępne sidła zwodzi-

cieli i pokusy niewieściej próżności. I wskazywałem nieszczęsny los tysięcy szwaczek, wołałem o otwarcie im obszernego pola godziwego zarobku, o danie możności wyuczenia się rachunkowości kupieckiej, o wprowadzenie do lepszych rzemiosł... I o podanie im ręki zwracałem się nie do „pana stworzenia“, nie do mężczyzny, lecz do Was zacne panie, nie potrzebujące myśleć o sobie, bo los pomyślał o Was. Od owej chwili czasu przeszło wiele. Ohydny smok zepsucia trującym swym oddechem zaraża całe nasze życie, a my nie czynimy nic, aby się go pozbyć. Słowa jeno, słowa i słowa... „Mówię, więc jestem“ — słaby to dowód istnienia, dopiero „czynię“ znaczy „żyję sam i tworzę życie“.

W dalszym ciągu artykułu wykazuje p. Koszutski, iż „zacne panie“ w rozmaitych stowarzyszeniach nic nie robią. Ztąd katzenjammer p. Koszutskiego...

Jedno małe pytanie: Pocóż się zwracać do zacnych pań, „nie potrzebujących myśleć o sobie“, z propozycyą, aby pomyślały i rozwiązały (?!!): kwestyę sług, kwestyę szwaczek, kwestyę panien sklepowych i buchalterek, kwestyę pracownic fabrycznych, kwestyę dostarczania pracy, kwestyę wypoczynku, kwestyę ochrony kobiet i inne kwestye, które pan wymieniasz.

Można być idealistą, ale sądzić, że „zacne panie“ choćby najzacniejsze, no wprost miłosierne siostry miłosierdzia, podniesione do potęgi szóstej, zdołają rozwiązać kwestyę społeczną, może bardzo naiwny postępowy publicysta.

Wszystkie kwestye powyższe są częściami ogólnej kwestyi społecznej; ta nieda się usunąć żadną filantropią choćby najzacniejszych pań, które ponadto, jak widać z żalów p. Koszutskiego, są conajwyzej zdolne do wypijania herbatek u p. Bülowa lub Posadowskyego na kongresie kobiecym.

Walka z prostytucyą wywalczoną być może tylko na polach po za bagnem prostytucyi leżących taksamo, jak bagno osuszyć można odprowadzając wodę doń spływającą, lub jej niedopuszczając. To też ten, kto rzeczywiście zwalcza prostytucyę, zwrócić się musi do samychże upadających szwaczek, robotnic i t. d. A ponieważ (ta kwestya powinna już być chyba rozstrzygniętą i dla postępowej prasy warszawskiej) ich położenie da się zmienić jeno pracą samych interesowanych, więc należało się chyba do nich, a nie „zacnych pań“ zwrócić.

Łączy się z tem drugie pytanie:

Czy przypadkowo nie jest winą p. Koszutskiego, iż słowa pozostały słowami. Ja sądzę, że tak. Musiały słowami pozostać, bo były pod złym powiedziane adresem.

A teraz trzecie pytanie: Dlaczego t. z. poważna prasa postępowa warszawska traktuje poważne kwestye społeczne w lirycznych felietonach, których autorzy nabawiają się z własnej winy kataru zwracając się z gorzkimi

wyrzutami do „społeczeństwa“, niepokoją zacne panie i wzywają orędownictwa nieboszczyków, narzekają na powódź słowa, sami strugi wylewając.

Jeżeli zwracamy uwagę na humbug dobroczynności mieszczańskiej, to nie wywołujmy sami mistyfikacyi, że ta dobroczynność czem innem by być mogła, nie wmawiajmy ludziom, że człowiek jest w stanie przeskoczyć cień własny.

* * *

P. Koszutski zwracał uwagę na konieczność zapobiegania spadaniu coraz dalszych szeregów kobiet pracujących w bagno prostytucyi. Rady a raczej w tonie jeremiaszowym pisane gorzkie żale jego, miały tę chociaż zaletę, iż nie wyrywały prostytucyi z całego kompleksu zjawisk społecznych ją wywołujących. Diagnoza była dobra, jeno rady złe, bo bezowocne. Nie szczędzi ich również p. Wróblewski w „Prawdzie“ warszawskiej. Dawszy w kilku artykułach dość powierzchowny obraz stosunków prawnych prostytutek w kilku krajach, mówi:

„Tak jest, też same prawa, jakie ma mężczyzna, powinna mieć kobieta, Gdy społeczeństwo odejmuje prawo rozpusty kobietom, powinno odjąć je też i mężczyznom, ponieważ ani sprawiedliwość, ani doświadczenie, ani wiedza nie znają pod tym względem różnicy pomiędzy obu płciami. Prostytucya legalna istnieje dla mężczyzn, jako „klapa bezpieczeństwa“ dla ich wyuzdania. Utrzymują się nieuzasadnione obawy, że z zamknięcia tej „klapy“ zrujnuje się rodzina.

„Bynajmniej. Ze zniesieniem prostytucyi, ze zrównaniem praw obu płci i wpojeniem w serca i umysły młodzieży wiary, że czystość płciowa jest dla niej dostępną, możebną i korzystną, z nietolerowaniem rozpusty zarówno męskiej jak i żeńskiej i t. d. życie rodzinne tylko się wzmocni, podniesie, zyska na wartości rzeczywistej i zajaśnieje piękniejszym blaskiem“.

Maleńkie sprostowanie.

„Społeczeństwo“ odejmuje kobiecie prawo rozpusty. Czy to kpiny postępowego“ pisma, czy też nowe łudzenie się? Dla filistra odejmowaniem prawa rozpusty jest pogarda, jaką jawnie otacza świat mieszczański prostytutki, korzystając z nich jednak „pełną piersią“ tajnie. Dla filistra obowiązkiem jest gardzić „gałką łojową“, której się wiktuały w podróży pożarło. Filister jest przekonany, iż walczy z prostytucyą, czyniąc prostytutkę niewolnicą, zapomocą reglementacyi policyjnej, oddając ją w ręce samowoli policyi, jest przekonany, że społeczeństwo odejmuje jej prawo istnienia.

A to społeczeństwo burżuazyjne rodzi prostytucyę na przekór swej frazeologii o ognisku domowem z takąsamą fatalnością, jak mimo wołań pani Suttner grzmią oręże.

Patrząc na rozpustę mężczyzn jako na zjawisko społeczne, masowe, z łatwością zoczymy jej przyczyny. Odwlekanie małżeństw na późniejsze lata, życie w warunkach przedrażnień i podniet, to stwarza popyt na prostytucyę.

A podaż? O to dba dostatecznie fatalizm istnienia obecnego ustroju społecznego „odejmującego“ rzekomo prawo rozpusty kobiecie.

A więc co? Znowu wołania o propagandę idei czystości i przekonywanie, jakieby dobre skutki sprowadziła. Czy to jednak wystarcza? P. Wróblewski umie swój towar zachwalać. A że wie, iż czytelnik nasz lubi czytać zdania wypowiedziane przez mężów z przydomkiem „znany“, „znakomity“, „wybitny“, więc przytacza zdań takich bardzo dużo. Zbyt znane i banalne, by je powtarzać. A popyt w handlu kobietami wzrasta — i podaż także.

* * *

Niechciałbym narazić się pp. Koszutskiemu lub Wróblewskiemu. Ale tu nie o nich chodzi. Stawiać kwestyę prostytucyi tak, jak oni to robią, świadczy o olbrzymiej choć może bezwiednej zarozumiałości.

„Dajemy Wam radę, usłuchajcie a zniknie prostytucya. Nie słuchacie, poczekajcie, paszczęką miecza ukarani będziecie“.

Słyszałem nieraz z ust katechetów. „Gdyby Polacy słuchali przestróg Skargi...“ W piątej będąc klasie gimnazyalnej, rozczulałem się nad zatwardziałością szlachty polskiej XVII wieku... Czyżby postępowi publicyści również nad nią płakali?

Karol Radek

JESZCZE W KWESTYI SŁUG.

W Nrze 13 i 14 Nowego Słowa przeczytałam „List otwarty w kwestyi służących,“ a treść jego mnie tak uderzyła, że choć nie znam odczytu, o którym mowa, nie mogę się powstrzymać od nakreślenia paru słów odpowiedzi dla „innej.“

Autorka listu zarzuca nieznanej mi prelegentce, że z poglądami kobiety postępowej stojącej na gruncie walki klas, pozostaje w rażącej sprzeczności jej żądanie bliższego, serdeczniejszego stosunku między panią a służącą, opieki pani nad sługą. Opieka taka bowiem hamuje jej samodzielny rozwój, do nieuniknionego ekonomicznego ucisku dodaje cięższy jeszcze i szkodliwszy, choć może na razie przez nieuświadomioną dziewczynę nie odczuwany — ucisk moralny, ucisk opieki niepożądanej, opieki wyzyskującej nad wyzyskiwaną.

Jakkolwiek nieraz już spotykałam się z objawami cięższego doktrynerstwa tego rodzaju, nigdy może jeszcze nie wystąpiło ono w tak rażącej formie, jak właśnie w owym „liście otwartym.“

Istnieje u nas w sferze myślenia po prostu choroba szablonów, a jeżeli umysł jakiś zdobędzie się na tyle samodzielności, by się otrząsnąć z szablonów tradycyjnych i przestarzałych, to niestety tylko na to, żeby czemprędzej wśrubować się w dyby jakiegoś innego, równie ciasnego, lecz nowszej daty szabloniku. Taką nowożytną foremką jest antagonizm klas.

Nie poprzestając na tem, że on istnieje, jako historyczna konieczność, trzeba go jeszcze wszędzie robić; cenić i szanować jak nietykalne „tabu“ broń Boże nie łagodzić tylko zaostrzać, jak chce pani „inna“ gdyż nie stawia się tamy historycznej konieczności!!!

W świetle tego poglądu fabrykant, któryby z własnej inicyatywy skrócił dzień roboczy lub podwyższył płacę, zasługiwałby na potępienie, a „inna “ i jej przyjaciółki dostałyby „gęsiej skórki“ na wieść o jego postępku; natomiast na uznanie zasługiwałby taki, któryby robotników obarczał nadprogramową pracą nocną, gdyż on istotnie najdzielniej przyczyniałby się do zaostrzenia antagonizmów klasowych. Zapominają te panie myślące ściśle według napisanego i pieczęcią prawowierności opieczętowanego programu, że antagonizm klasowy pożądany jest tylko jako środek, nie jako cel, celem zaś zawsze jest i być musi zrównanie się klas, podniesienie kultury, dobrobytu i samodzielności dzisiejszych klas pracujących. Bezwzględne szanowanie nietykalności i samodzielności duszy sług przez chlebodawczynie, nie przyspieszy osiągniętego celu, lecz go opóźni gdyż dusza ta zamiast być przedmiotem opieki jednostki światłej, postępowej i pełnej dobrej woli, dostanie pod władzę tych, których interesem jest utrzymać ją w mrokach średniowiecznej ciemnoty, przesądów i niewoli.—

Jeżeli życzliwie usposobiona do sług pani w ten sposób uszanuje jej godność ludzką, że nie zbliży się do niej — jak chce pani „inna“ ani z dobremi radami, ani ze współczuciem, ani z pochwałą, ani naganą,“ to zostawi ciemną, zwykle młodą, niedoświadczoną, pozbawioną moralnego oparcia we własnej rodzinie dziewczynę, na pastwę różnych wyzyskiwaczy głupoty ludzkiej, znachorów, wróżących cyganek, handlarzy żywego towaru i ulicznych donżuanów.

Pani „inna“ tak się wczytała w programy, że nie widzi przed sobą żywego, rzeczywistego życia i daje rady bardzo dobre wobec „sług przyszłości,“ takich, których jeszcze wcale niema, a zatem fikcyjnych, lecz wprost zgubne w obecnych warunkach. Gdyby Panie i sługi stały umysłowo i kulturalnie na równi, wtedyby dla służącej było zupełnie obojętną rzeczą, czy jej pani rady udziela, czy z zasady odmawia. Gdyby służące były istotami dojrzałemi, świadomemi swych praw, obowiązków zadań życiowych, niebezpieczeństw, które im grożą, środków, które im do obrazy służyć mogą, wówczas mogłyby się panie całkowicie uwolnić z obowiązków opieki nad sługami. Tak jednak jak jest obecnie, gdy służba domowa rekrutuje się przeważnie z dziewcząt przybywających do miast z odległych wiejskich zakątków, w wieku tak młodym, że żadna z „pań“ córki swej w tak wczesnych latach nie zdecydowałaby się puścić w świat między ludzi, gdy większość ich stanowią zupełne analfabetki, lub takie, dla których czytanie i pisanie stanowi robotę uciążliwszą i trudniejszą niż froterowanie posadzek, tak łatwowierne, że obietnicą dostarczenia „inkluza“ na zakocha-

nie lub wygraną na loteryi, można z nich wyłudzić ostatni grosz i jedyną całą suknię — zasada nietykalności duchowej jest wprawdzie dla chlebodawczyni najdogodniejszą, ale nie jest ani uczciwą, ani humanitarną.

Bez kwestyi bowiem byłoby znacznie dogodniej wymagać od sługi pewnej sumy pracy, skontrolować czystość garnków i całość porcelany, a potem odwrócić się do niej plecami i niedbać o to, co się z nią dzieje. Tego systemu trzyma się wiele pań, wcale nie w myśli zaostrzenia antagonizmów klasowych, lecz w przekonaniu, że sługa jest użytecznym sprzętem domowym, a po zatem niczem więcej. Zdaje mi się jednak, że kobieta myśląca, postępowa rzetelnie, nie zdecyduje się na taką rolę nawet pod uciskiem najpowszechniej obowiązującego programu. Po za wszelkimi programami i p o n a d wszelkimi programami są pewne ogólne zasady humanitarne, które każą człowiekowi szanować w drugim człowieka, odczuwać w nim bratnią istotę, reagować na jej cierpienia, potrzeby, troski, niepokoje i wątpliwości.

Z tych zasad humanitarnych wynika moralna odpowiedzialność ludzi dojrzałych za dzieci i małoletnich, ludzi doświadczonych za niedoświadczonych, oświeconych za ciemnych, zdrowych za słabych, a zatem pań za sługi w ich domu zatrudnione. Nie tylko obarcza sumienie chlebodawczyni winą tych błędów i cierpień, które sama spowodowała, lecz i tych którym nie zapobiegła, choć byłaby mogła. Dlatego więc udzielenie dobrej rady, pożytecznej wskazówki — nie jest „uciskiem moralnym“ lecz jest moralną powinnością.

Jeżeli wiemy np. że ktoś naszej służącej mającej jako jedyną „artystyczną„ kwalifikacyę zdrowe ciało i białe zęby, obiecuje świetnie płatną posadę w teatrze w Petersburgu, to jest naszym obowiązkiem wystąpić z „nieproszoną opieką“ i objaśnić jaki najprawdopodobniej będzie rodzaj tych teatralnych występów. — Cytuję fakt autentyczny i zapewnie nie wyjątkowy. — Naturalnie wolno jej naszej rady nie usłuchać, a nie wolno nam przeszkodzić jej w przyjęciu przedniego „engagement“ jeżeli jednak udzielimy jej objaśnienia i ostrzeżenia, spełniwszy swoją powinność zwalniamy się z moralnej odpowiedzialności, gdyż dziewczyna świadomie i własnowolnie o przyszłości swej decyduje.

Ale właśnie to uświadomienie naiwnej i łatwowiernej, jest dla niej konieczną opieką, od której nas zasada nietykalności jej duszy zwalniać nie powinna. Pominąwszy zaś takie drastyczne wypadki, ileż drobniejszych okoliczności trafiać się może, w których jedynie blizki i serdeczny stosunek dobrej i rozumnej pani ze sługą tę ostatnią od strat, kłopotów i chorób chroni.

Zabawny jest poprostu ostatni zwrot „otwartego listu.“ Jako jednostka inteligentna i uspołeczniona może każda pani oświecać służące, ale jako chlebodawczyni powinna zachować się biernie i nie wkraczać do ich du-

szy ani z dobremi radami, ani z współczuciem i t. p. — W naszych zwyczajach obecnych, gdy tylko bardzo niezamożni ludzie obywają się bez sługi, każda nieomal osoba „inteligentna i uspołeczniona,“ jest chlebodawczynią. Cóż wynika z tej rady?

Wolno oświecać każdą sługę z wyjątkiem własnej, chodzić po cudzych kuchniach i budzić antagonizmy klasowe, lecz broń Boże nie pogawędzić przy własnem kuchennem ognisku z dziewczyną, która dla nas zupę warzy, gdyż toby na złagodzenie antagonizmów wpłynąć mogło? Albo może mieć osobne godziny wyznaczone na występy chlebodawczyni, a osobne na ukazywanie się w postaci „inteligentnej i uspołecznionej jednostki.“ ?

A teraz jeszcze o nietykalności duchowej i nietykalności listów. Nie ulega wątpliwości, że czytanie listów cudzych, a może tem więcej listów osób od nas zależnych, jest rzeczą brudną, co do mnie zaliczam do najnudniejszych zajęć pisywanie listów dla kogoś tj. za niego. Jednakże nawet mając służące umiejące pisać i czytać, rzadko się od oddania tej przysługi zwolnić mogłam. Nieraz mówiłam im wyraźnie, że rodzina ma prawo wiedzieć o nich to, czego ja wiedzieć nie potrzebuję, a nawet nie powinnam, np. czy są zadowolnione ze swej pani i co o niej myślą. Zupełnie im to nie trafiało do przekonania.

Bardzo często nawet mówiły tylko, że chcą list do domu wysłać, prosiły, żebym ja go napisała, bo mi to łatwiej przyjdzie, a w końcu pytały o radę, co w tym liście napisać? To są również fakty autentyczne i również nie rzadkie, a wobec nich jakże po akademicku i czysto książkowo brzmią uwagi o nieproszonej opiece, której „nieuświadomiona dziewczyna“ wprawdzie jako ucisku moralnego nie odczuwa, ale która niemniej jest uciskiem „cięższym i szkodliwszym“ niż ucisk ekonomiczny!!

Zaprawdę, zaprawdę, chcąc cośkolwiek pożytecznego dla ludzi zrobić trzeba ich najprzód znać, a chcąc nowy porządek społeczny zbudować, trzeba się najprzód dokładnie zoryentować w obecnym, żeby przynajmniej wiedzieć, od czego zaczynać. — *G. Moszczeńska.*

Przypisek Redakcyi:

Zamieszczając artykuł polemizujący z listem otwartym z Nru 13—14 — „W kwestyi sług“ — z którym, jak to zaznaczyliśmy, zupełnie się solidaryzujemy, czynimy to dla możliwie wszechstronnego oświetlenia tej, po prostytucyi najcięższej i najbliżej z nią związanej, formy niewoli kobiecej. Musimy jednak zaznaczyć, że tym razem nie zgadzamy się z poglądami naszej zacnej współpracowniczki. Nie podzielamy jej optymistycznego poglądu, jakoby wszystkie panie były jako „jednostki światłe, postępowe i pełne dobrej woli“, powołane do obejmowania protektoratu nad prywatnem życiem służących. Nie przekonywa nas również Jej argument, że „w czasach obecnych, gdy tylko ludzie bardzo niezamożni obywają się bez sługi, każda niemal osoba inteligentna i uspołeczniona jest chlebodawczynią“. Właśnie dlatego, że ogół kobiet ma sługi — a zatem jedna może na tysiąc chlebodawczyń jest „inteligentną i uspołecznioną“, należy stawiać zasadę, że „pani“ nie wolno mieszać się w prywatne życie służącej — bo właśnie żywe, rzeczywiste życie nie doktryna uczy nas, że po za obowiązkami służbowemi opieka chlebodawczyni zazwyczaj przybiera formę ucisku i niewoli. — Wyjątki są nieliczne, a zasady dla wyjątków stawiać nie należy.

NOC LISTOPADOWA *)

* * *

Zauważyliśmy już, że w dramacie bieg zdarzeń nie jest ściśle historyczny (Przez wyraz „historyczny“, podkreślić to trzeba wyraźnie, nie należy rozumieć wyłącznie „przeszły“, lecz rzeczywisty; fakt może więc być współczesny, bezimienny często, lub z przeszłości wzięty, zawsze będzie historyczny. Wszelako dramat jest ideą, która pewną grupę zdarzeń zamyka, ten materyał zdarzeń organizuje, do kresu ją pewnego doprowadza i o tyle wszelkie zdarzenie w dramacie uważać należy za przeszłe, za rzecz, która stała się nieodwrotnie. Zdarzenia te mogą i muszą mieć następstwa dalsze lecz te do dramatu nie należą. Faktów zaś zmyślonych w dramacie niema, o ile są związane logicznem następstwem, są prawdziwe i konieczne). Z tego nie można wnioskować, że poeta jest niedokładny, niehistoryczny, jak zarzucają bardzo często, lecz że bieg zdarzeń rzeczywisty nie jest dramatyczny, mieści tysiące zdarzeń niepotrzebnych, zmyślonych, te więc poeta usuwa. Są pisarze, którzy, trzymając się ściśle prawdy, opisują wszystko, co w pewnej grupie zdarzeń znajdują bez względu na to, czy to ma związek z dramatem rozgrywającym się czy nie. Są prawdziwi, niewątpliwie, lecz ich dzieło jest nieartystyczne. Nie trzeba wcale formułki, żeby tą metodą posługiwać się, wystarczy nie mieć poczucia artystycznego. Wynikła ta metoda z mylnie pojętej formułki: niczem gardzić nie należy. Nie można się takiemu pojmowaniu przeciwić, lecz ono się w sztuce nie na wiele przyda. Nauki ścisłe poza metodę wyjść nie mogą, sztuka metodę łączy z myślą artystyczną, która wyboru dokonywa i organizuje materyał. Dotychczas wyłącznie niemal w rzeźbie dopatrywano się tej pracy organizacyjnej, ponieważ mylnie brano kamień za materyał, nie za środek. Widziano tu kształty niewątpliwie powstające z niekształtnych mas, więc skojarzenie narzucało się samo. Kamień zaś może być materyałem np. w pejzażu, może być motywem dla malarza. Ta praca organizacyjna cechuje wszystkie gałęzie sztuki, odmienne, różne, niepodobne, a tym właśnie pierwiastkiem zjednoczone.

W niekształtnej masie zdarzeń lub w ugrupowaniach artystycznych luźnych a przypadkowych, poeta odkrywa właściwy nowy związek, ideę dramatyczną, przypadkowy bieg zdarzeń zamienia na konieczny, więc tragiczny — to następstwo może nie być rzeczywiste w powszechnem znaczeniu, ale jest artystyczne. Zdarzenia same, dokładnie prawdziwe, tak we wszystkich dramatach Wyspiańskiego, ich powiązanie zależy od smaku, od stylu poety. Artyści o przeróżnej wrażliwości przeróżną odkryją logikę w zdarzeniach jednych, zdarzeń samych nie naruszając. Obojętna więc, że pewne zdarzenia w historyi latami i wiekami są rozdzielone, artystycznie one do siebie należą. Pod tym względem dramaty Wyspiańskiego są może przykładem jedynym.

Poeta ma przed sobą, jako materyał, nierozwikłaną grupę zdarzeń, aż do najdalszych konsekwencyj. Czasem początków trzeba szukać bardzo daleko, w epokach nierozświetlonych, a nawet zamierzchłych. Wyspiański w „Legendzie“ zestawia losy Wandy z Wawelem dzisiejszym. Związek ten, ta idea dostrzeżona nagle, intuicyjnie, musi sama w dramacie ukazać się, jako tkwiąca w zdarzeniach. Wszystko więc, co w pośrodku, poeta usuwa, zestawia początki z najdalszemi następstwami, nie zmienia terenu zdarzeń, ani czasu, w którym się one rozgrywają, lecz przenosi te następstwa do owej chwili dalekiej w sposób jedynie możliwy zapomocą widzenia: Wandzie stojącej na promie fatalnym ukazuje się Wawel w dzisiejszym kształcie. Podobny układ artystyczny można zauważyć w „Bolesławie Śmiałym“, podobny nie dlatego, że tu i tam widzenie nastaje, lecz, że zdarzenia związane są węzłem trwałym, logicznym, nierozerwalnym. W owej historycznej chwili rycerz Stanisław, jak go nazywa Wyspiański, nie był świętym, występuje w pierwszych dwóch aktach jako bispup krakowski, posągu ani trumny również nie było. Posąg i trumna są dzisiaj. Jedność dzieła byłaby zerwana, gdyby na drugim akcie urwać dramat, lub przenieść w inne czasy, w których już króla nie było, chociaż był ów posąg i była trumna, a biskupa świętym ogłoszono. Posąg też świętego i trumna zjawiają się Bolesławowi w widzeniu w akcie trzecim.

Drogę, po której szedł poeta, można logicznie śledząc, odtworzyć, lecz tej drogi w samym dramacie niema. Rzecby można, że cały wysiłek, cała technika znika w samem dziele, które skutkiem tego jest lekkie, że śladu wysiłku na niem nie znać. = Można wziąć na uwagę i bieg zdarzeń w dramacie o Lelewelu. Jenerał Dembiński dnia 3 sierpnia 1831 dotarł do Warszawy, dokonawszy słynnego odwrotu z Litwy. Dnia 4. sierpnia zawezwano go na posiedzenie Rządu Narodowego i na tem posiedzeniu Dembiński zdał sprawę z tego odwrotu. Po tem sprawozdaniu nastąpiła owa scena między Lelewelem a ks. Czartoryskim, opisana w akcie pierwszym „Lelewela“. W dramacie Wyspiańskiego zdarzenie to przeniesione na dzień 15 sierpnia, a więc na chwilę, w której oddawna nagromadzone żywioły rewolucyjne, jak je nazywano wybuchły. Już niejednokrotnie zaznaczono, że u Wyspiańskiego pojęcia rozszerzają się i urastają niemal do potęg przyrody. Wyspiański bowiem pojęcia, formułki, plany, zamiary heroizuje i wywodzi z dusz ludzi działających. Tragiczny pęd wypadków jest wówczas nieodzowny, ludzie stają się płonącemi jakby pochodniami i idą za swą myślą do kresu bez baczenia na względy jakiekolwiek. Nie w ich mocy pęd ten powstrzymać, gdyby nawet zresztą mogli, nie uczyniliby, więc taka myśl wcale ich nie nachodzi. Najbardziej zajmujący dla nas z tego względu jest ów dramat w którym na ten sposób zdąża do dzieła artysta. Tu bowiem mamy do czynienia z dziełem jednostki, ściśle określonem, w tamtych dramatach z dziełem długich wieków, zbiorowem, powstałem z myśli, sięgającej czasów zamierzchłych, którą poeta ze splątanej sieci wypadków wydobył i z je-

dnostką ją złączył, z tą, która mu początek dała. Tego zaś artystę przedstawił Wyspiański w „Wyzwoleniu“ i o tem już nic uwagi godnego powiedzieć nie można. Są tam rysy stanowcze, ostateczne, wieczyste. Tam artysta chce się wyzwolić z pod myśli artystycznej, i właśnie to swoje dążenie ujmuje heroicznie artystycznie. Nie od niego to zależy.

Noc 15 sierpnia była niejako kresem całego szeregu wypadków i działań powiązanych jedną ideą. Tę jedność spostrzegł poeta i w jednej chwili fatalnej zgromadził je wszystkie tak, że zaczątki i konsekwencye bezpośrednio po sobie następują, nieodparcie i koniecznie. Dlatego wszystko dzieje się w owej chwili 15 sierpnia, w której zgromadziły się i wybuchły moce, kierujące biegiem zdarzeń: szał duszy. Ta myśl na wszystkich postaciach piętno wycisnęła; jestto myśl artystyczna, która rzecz heorizuje i głębię jej odsłania; lecz widoczna, gdy zwłaszcza porównać wszystkie inne dramaty Wyspiańskiego, że idea dramatu nie powstała w sposób dramatyczny; poszczególne postaci tak, całość powstała psychologicznie, historycznie. „Lelewel“ (podobnie jak pierwsze wydanie „Legendy“) jest jednym z najdawniejszych (1899) dramatów Wyspiańskiego; od owego czasu pojawiło się kilkanaście dramatów innych i różnice zaznaczają się dość wyraźnie, nie w stylu, lecz w samej idei dramatycznej, która we wszystkich innych dramatach jest już nawskroś artystyczna. W „Lelewelu“ zestawianie zdarzeń i wiązanie ich odbywa się jeszcze psychologicznie i o tyle nastaje pewna dwoistość, artystyczne pojęcie postaci samej, a psychologiczne łączenie faktów. U historyków bardzo głębokich, u niektórych archeologów znajdziecie ten właśnie styl, więc u samego Lelewela przedewszystkiem, potem u genialnych powieścio pisarzy. Wśród powieści polskich trudno mi wyszukać dzieła tego rodzaju, p. Irzykowski miał ideę, lecz ją zepsuł i zmarnował płaskością postaci, które odmalował, oraz upartem, mało poważnem, trzymaniem się formuł niby naukowych. Myśl artystyczna heroizuje rzeczy najbardziej z punktu widzenia p. Irzykowskiego brzydkie i małe, rzeczywistości zaś nie narusza, dowodem powieści M. Barresa, który się jedyny jako przykład tu nasuwa. W historyografii może znajdzie przykładów więcej. Sam Barzykowski, dziejopis powstania, historyk niekoniecznie genialny, ma momenty doskonałe pod tym względem. Wiąże zdarzenia na sposób najlepszych powieściopisarzy, wybiega naprzód, do następstw, te bowiem już spełnione oddawna w chwili pisania, cofa się do najdalszych początków, miejscami nawet mówi, że to lub owo zdarzenie jest pierwszym aktem dramatu, uwypukla fakt, modeluje go. (Lecz za wiele wydaje sądów, które rzecz zaciemniają. Niewiadomo, czy ścisła nauka historyi taki styl uznaje; raczej nie. Za sto lat może uzna.

Od „Wesela“ psychologia znikła z dramatów Wyspiańskiego, idea dramatyczna stała się nawskroś artystyczną. Takich zestawień nagłych, niespodzianych, zwięzłych a ujmujących całe wieki, a właśnie jakby dlatego prze-

konywujących i oczywistych (jak np. w „Legendzie“, w „Bolesławie Śmiałym“, indziej) nie można z niczem innem porównać, jeno z witrażem. Tembardziej, że nie wyjdziemy tu z zakresu działalności Wyspiańskiego. Na witrażu, jak wiadomo — przykładów w Krakowie nie brak, Kraków posiada kilka witraży Wyspiańskiego i znaczną ilość średniowiecznych — niema tego, co nazywa się właściwą modelacyą, uwypukleniem postaci, ustawieniem postaci na tle w stosunku perspektywicznym; malowanie jest jednoplanowe zawsze, tego wymagają niezachwiane prawa tego rodzaju sztuki malarskiej i wymaga ekspresya dramatyczna. (Niema teł na portretach Wyspiańskiego chociaż one nie są kompozycyami witrażowemi). Dramaty Wyspiańskiego są jednoplanowe. Końcowy obraz „Legendy“ — Wanda mająca widzenie Wawelu — lub „Bolesława Śmiałego“ — żeby się tych wyłącznie dzieł trzymać tymczasem — są jakby kompozycyami witrażowemi. Niewiadomo, czy taka jest ściśle idea Wyspiańskiego, ale zdaje się, że witraż, wyobrażający św. Stanisława, jest końcowym momentem dramatu, który na scenie widzieliśmy: trumna, przygniatająca Bolesława Smiałego i dominująca odtąd nad tajemniczem zdarzeniem. Witraże Wyspiańskiego w znacznej części skomponowane są właśnie w ten sposób: dają ostatni moment dramatu. Widać zatem, że tu porównania z historyografią i powieściopisarstwem są płonne: innemi te gałęzie sztuki rządzą się prawami. W dziełach Wyspiańskiego idea dramatyczna doszła do swej pełni, zamknęła się w swoich prawach, w swojej logice nieodmiennej. Do tego szczebla — jeżeli to wobec takiego określenia szczeblem jeszcze nazwać można — historyografia lub powieściopisarstwo nie dojdą nigdy i dojść nie mogą ani zechcą, chyba, że się wyrzekną własnego istnienia w obrębie własnych praw, samodzielnych. Porównywać więc już nie można, można jeszcze było „Lelewela“ lub pierwsze wydanie „Legendy“, drugiego wydania tego dramatu już nie podobna zestawiać z innymi rodzajami, ani żadnego może innego z późniejszych dramatów,

W „Nocy Listopadowej“ takich zestawień jednoplanowych jest wiele o całości tego powiedzieć nie można, Wyspiański też dzieła tego nie nazwał dramatem, wiadomo, że to „Sceny dramatyczne“. Przedewszystkiem takiem zestawieniem jest scena V. W teatrze Rozmaitości. Oto, co podaje o tym momencie powstania Barzykowski (Historya powstania listopadowego t. I. 305): „Dąbrowski wraz z Zajączkowskim, który dnia tego był na służbie i komenderował strażą na odwachu Krakowskiego Przedmieścia pod Bernardynami, z dobytymi pałaszami wpadli do teatru Rozmaitości i ostatni silnym głosem zawołał: „Polacy! do broni! Moskale naszych w pień wycinają“. Ten okrzyk wszystkich odurzył, powstało zamięszanie i kto żył cisnął się do drzwi. Gdy Dąbrowski chciał aresztować oficerów rosyjskich, znajdujących się w teatrze, Chłopicki obecny tamże krzyknął doniosłym głosem: „Oddal

się Pan stąd, rozkazuję! obecni tutaj oficerowie rosyjscy znajdują się pod moją opieką". Ponieważ Chłopicki był przez wszystkich znany, ponieważ rozkaz jego dla każdego. szczególniej dla wojskowego był świętym, Dąbrowski przeto usłuchał i oddalił się, oficerowie moskiewscy nie byli aresztowani, a Chłopicki szybko opuścił teatr. Publiczność co prędzej wytoczyła się z teatru......" Tyle historya. Powiedzmy odrazu, że więcej historya dać nie może. Zestawienie z witrażem jest oczywiście tylko analogią lecz jednoplanowość jest zasadniczą cechą w Wyspiańskiego dramacie i w witrażu. Jak uzasadnić zachowanie się Chłopickiego, jak uczynić je naturalnem, koniecznem i jedynie możliwem? Taki fakt historya stwierdza i idzie dalej. Czytając dzieje powstania i Chłopickiego, można w przybliżeniu zdać sobie sprawę z tej postaci. Wyspiański postać tę przedstawia dramatycznie, bierze wszystkie szczegóły, które na terenie znajduje, ustawia je pod kątem dramatycznym, faktów samych nie narusza, lecz podobnie jak posągom gdzieindziej daje słowa miejscem i chwilą uzasadnione, tak i tu nic się właściwie nie zmienia, a jest inne. Na scenie Teatru Rozmaitości grają wodewil o Fauście i Małgosi, przeplatany w końcach scen baletem satyrów. Satyry te kapryśne, swywolne, uszczypliwe na własną rękę improwizują przed zebraną publicznością. Są to aktorzy pomysłowi, czerpią wprost z natury, nie idą za wskazaniami reżysera, chociaż roli swej właściwie nie zmieniają, postać zachowują podyktowaną, lecz ją rozszerzają. Są prawdziwymi satyrami. W pantomimicznem skróceniu odtwarzają na scenie dawno minione wypadki, w których Chłopicki miał udział. Jeden udaje W. Księcia Konstantego, drugi adjutanta Kurutę.

„1 Satyr: Cóż o mnie mówią te Polaki?
szczekaj, bo masz przemyślny łeb.
2 Satyr: Że Wielki Książe taki, siaki...
1 Satyr: Jaki?!
2 Satyr: Że Wielki Książe kiep.
1 Satyr: Kto to powiedział?
2 Satyr: Niepamiętam.
1 Satyr: Zasługi order złoty dam
2 Satyr: (wskazując w publiczność)
Spojrz Wasza Miłość, fotel; ten tam
1 Satyr: Chłopicki!
2 Satyr: Właśnie on to sam".

Chłopicki, ani słowa nie powiedział, widać go jeno siedzącego w fotelu, na widowni, a prawdziwie wodewilowe, swywolne, lekkie rytmy (i z muzyki wodewilowej skorzystał tu poeta) powiedziały, co to za jeden.

Nastaje antrakt i zmiana dekoracyi, satyry układają tymczasem następny balet. Inne satyry wtargnęły na widownię i obok fotelu Chłopickiego

wspominają o innem zdarzeniu. Podczas tego, „ustawiono na scenie dekoracyę, - która wyobraża: plac publiczny — kurtyna się podnosi, odsłaniając widownię. — Na scenie: mieszczanie i mieszczanki — przechadzają się". — „Na scenę wchodzą statyści w kostyumach gwardzistów — i ustawiają się rzędem po dwóch stronach scenki — tworząc w ten sposób szpaler — dla mającego tańczyć baletu. — Muzyka gra baletową partyę.— W tejże chwili: 1 Satyr, udający W. Księcia — wbiega z dobytą szpadą — równając ostrzem szpady szereg stojących gwardzistów — gdy spostrzega, że jeden z gwardzistów jest w kasku polskiego żołnierza, wygraża nad nim pięściami — zdziera mu szlify — rzuca je na ziemię — depce nogami — staje się cisza. — 2 Satyr pojawia się na scenie w płaszczu wielkim i cylindrze — ubrany i upozowany à la Chłopicki — i chrząka. — 1 Satyr, udający W. Księcia — na to chrząknięcie zmyka ze sceny — Publiczność wybucha śmiechem — 3 Satyr (za krzesłem Chłopickiego) Wielki Książe Cesarzewicz spiekł raka;

Cała Warszawa się śmiała!

Satyry: Cha, cha, — cha, cha,—

Publiczność: Cha, cha, — cha, cha.

1 Satyr: (za kulisami)

Kurtyna!!

Aktor: (za kulisami)

Co to?!

Publiczność: Fora! Fora!"

I oto znowu Chłopicki jest cały. Historyk zna dokładnie te fakty, dziejopis obyczajowy zna może przebieg owego przedstawienia w Teatrze Rozmaitości. Zaznaczyć należy, że w tej scenie V. nagromadzony jest materyał, któryby starczył na tom opisu. Jest ruch i gwar i zgiełk, całe życie teatralne, zakulisowe odmalowane kreskami szybkiemi, błyskawicznemi, dramatycznie zawsze, cała istota sztuki aktorskiej zaznaczona i ujęta dramatycznie. Wodewil grają nadal, aktorowie — satyrzy wyciągnęli wszystkie konsekwencye swej gry, autor wodewilu zabiera głos: Faust, Małgosia, Mefisto. W roli Mefista występuje Kudlicz, ulubieniec publiczności warszawskiej. Wiadomo, że aktor bardzo często nie gra roli przepisanej przez autora, lecz tylko mówi jego słowa, zwłaszcza gdy rola źle napisana. Tembardziej aktor, mający kulturę własną i artystyczną. Często zdarza się, że aktor robi gesty niezgodne z tekstem, ale zgodne z naturą postaci, którą gra, z naturą terenu, na którym znajduje się lub chwili, w której się rzecz dzieje. Zazwyczaj jednak na scenie tak postąpić nie może (Może zaś we wodewilu, w którym aktorowie zazwyczaj dają kuplety własnego pomysłu, aktualne, satyryczne. (Toteż francuskie kuplety Kudlicza są aktualne i satyryczne, odnoszą się do stosunku Polaków do W. Księcia. Potem jednak Kudlicz ma mówić swoją rolę, śpiewać jako Mefisto serenadę. Tymczasem satyry, którzy poprzednio również w piw-

nicy Auerbacha zauważyli, że studenci śpiewają piosnki stare i przeżyte i, jako studenci sami, podsuwają piosnkę aktualną, i tutaj Kudliczowi podsuwają rolę nie z wodewilu, a z natury. Kudlicz więc łamie rolę, konsekwencye mogą nie być artystyczne — publiczność zaczyna rozumieć. I w tej właśnie chwili, jak, żeby do tego pomieszania celów artystycznych i obcych sztuce nie dopuścić, wpada na widownię Nike Napoleonidów z okrzykiem „Do broni! Do broni!“, za nią oficer Zajączkowski. (Dok. nast.)

St. Lack.

NOTATKI.

(*Teatr. — „O twórczości aktorskiej“ p. Tennera. — „Skarb“ L. Staffa. — „Rok 1794“ Z. Parvicgo. — Bajki i Bajeczki pp. B. Herza i Lemańskiego. — „Skotopaski sowizdrzalskie“ p. Nowaczyńskiego).*

Pierwszą nowość roku teatralnego 1904-5, dramat G. Hauptmana p. t. „Michał Kramer“ (w przekładzie p. S. Sierosławskiego), wystawiono 3. września. Wieczór był zajmujący bardziej może ze względu na grę artystów niż na sam dramat. Tego bowiem Hauptman już nie napisał, zostawił go w drodze, nie doprowadził do możliwych kresów i koniecznych. Lecz to obaczymy niżej. W rodzinie Kramerów wszyscy, prócz matki, malują: maluje ojciec, maluje córka, maluje syn. Wszyscy ludzie na świecie, więc i na scenie mają jakieś zajęcie: ci Hauptmanowi zajmują się malowaniem. O ich artyzmie nie wiele da się powiedzieć, ponieważ dzieł ich nie znamy, i ponieważ z tego co mówią, wywnioskować można, że to ludzie bardzo zwykli, nie artyści. Syn, Arnold, jest genialny, słyszymy, i jest ułomny. Ułomność ta urabia mu niejako wrażliwość, a raczej mu ją skrzywia — nie artystycznie, skoro, jak mówią, jest genialny. Przywykł zaś do ściągania wszelkich zdarzeń do swej ułomności. W domu jest podejrzliwy i ma się za pewnego rodzaju popychadło; rodzina zaś uznaje i ocenia jego talent, uważa go jednak za ostatniego nicponia i postępuje odpowiednio. Ów tedy młody Kramer, kocha się w Luizie, córce „restauratora“, przesiaduje w jej restauracyi całemi nocami, jest tej Luizy, żeby rzec tak, rzeczą, atoli wzajemności pozyskać nie może. To właśnie słyszymy od samej Luizy, która w drugim akcie zjawia się w pracowni starego Kramera ze skargą na syna. Potem jest scena starego z młodym. Arnold kłamie: wcale tej nocy nie był nigdzie, tylko z przyjacielem, malarzem, włóczył się po mieście i za miastem. To kłamstwo jest tak strasznej wagi, że stary Kramer na jego podstawie wyrzeka się syna, zarzucając mu nizkość duszy. Rozstają się, widocznie, na zawsze. Tą sceną dramatyczną kończy się wszystko. To, co nastąpi nie wynika z tej sceny, lecz może z tysiąca innych poprzednich scen. Niewiadomo, dlaczego właśnie dziś takie następstwa zaszły. Młody Kramer idzie, jak szedł wczoraj i przedwczoraj do owej karczmy, do Luizy, prowokuje w jakowyś nieznany sposób stałych gości i grozi im rewolwerem. Oni go wyrzucają za drzwi. Młody Kramer zabija się. Ojciec nad nim ubolewa. — Taki jest bieg zdarzeń, któremu Hauptman usiłował dać cechy tragizmu, bezskutecznie. Skutkiem tego konfliktu bowiem nie jest, że młody Kramer idzie do Luizy, bo on tam już był wczoraj i przedwczoraj. Konflikt ten zresztą zaszedł o jedynastej rano, a przygoda w karczmie zaszła w nocy. Między zdarzeniami związek jest sztuczny, zwykłe następstwo faktów. Tragizm zasadza Hauptman na tem, że gdyby było nastało pojednanie ojca ze synem, nie byłby syn poszedł do Luizy, cała sprawa potoczyłaby się inną koleją. Konflikt był jednak nieunikniony, wynikał z charakterów ojca i syna. Innego wniosku wyciągać tu niemożna. Wniosek Hauptmana brzmi: więc Arnold poszedł do Luizy. Lecz to wniosek

mylny. Arnold byłby poszedł i po pojednaniu, skoro się kochał, skoro to wynika z jego charakteru. Młody Kramer nie bardzo takie sceny do serca bierze, ma tylko pewną ogólnikową gorycz, lecz one go nigdy do niczego nie pchnęły: wszak to nie pierwszy raz, dzisiejsza scena nie różni się niczem od tysiąca innych. Nic stanowczego ani wyjątkowego niema, chociaż autor właśnie dziś każe mówić staremu Kramerowi słowa wyroczne: chwila stanowcza, synu, pomyśl. W ten sposób przygotował niejako samobójstwo. Widać, jak luźnie. Nie rozwiązano bowiem konfliktu między ojcem i synem, ponieważ postawiono go na gruncie fałszywym, na gruncie artyzmu, chociaż widoczna, że artyzm w tem nijakiej roli nie odgrywa. Mogli to być ludzie, którzy zajmują się czemkolwiekbądź, oczywistą zaś jest rzeczą, że zajmują się wszystkiem, jeno nie sztuką. Pozostaje ułomność Arnolda. Z artyzmem połączyć jej nie można; powiadają, że ułomność wpływa na charakter, to możliwe. Artystycznego jednak związku dopatrzeć się tu trudno. Wpływ ten może ujawić się w pewnych postąpieniach, w pewnych reakcyach, a więc we wrażliwości. Stąd może przenieść się na dzieła i stworzyć im pewną atmosferę, lecz tu o tych dziełach mowy niema. Jest mowa o samobójstwie, a to rzecz inna, to nowy dramat. Bieg zdarzeń rozpoczęty w akcie drugim urwał się, istotnie bowiem tam kończy się dramat cały. Jest jedna scena dramatyczna i nic ponadto. W akcie trzecim rozpoczyna się rzecz nowa, oparta na tej właśnie ułomności i wywodząca się z tej spaczonej wrażliwości. Młody Kramer zabija się. Lecz jestto przypadkowe następstwo zdarzeń, nie zaś konsekwencya poprzedniej sceny.

Wrócić trzeba do owego konfliktu. Luiza (rolę tę odegrała bardzo pięknie p. Ordonówna) w rozmowie ze starym Kramerem mówi znaczące słowa: „Pan zupełnie tak patrzy jak Arnold, ja się pana boję“. Zdaje sie, że ojciec i syn mają wiele podobieństwa, (Takie Luizy, czasem widzą rzecy, których nikt inny nie widzi). W drugim akcie ukazują się wyraźnie oba charaktery, chociaż niewiadomo, czego chcą, ani do czego zmierzają. Scena jest taka: ma przyjść o jedynastej godzinie młody Kramer do pracowni ojca. U tego zaś właśnie jest Luiza i zanosi ową skargę. Dzwonią. Stary ukrywa Luizę, potem wpuszcza syna, każe mu iść do właściwej pracowni przesłoniętej kotarą (w tyle sceny), wyprowadza przodem Luizę, potem woła syna i badanie rozpoczyna się: gdzie był w nocy? Stary wie, gdzie był, niewiadomo więc dlaczego takie pytanie zadaje, skoro zwłaszcza jest przekonany, że syn skłamie. Jakby na to kłamstwo czyhał wyroczne. Syn oczywiście skłamał, nawet dwukrotnie. Widać, jak tu autor wiąże i snuje tragizm. W drobnostkach tkwi tragizm! Niewątpliwie. Wedle tego ojca to kłamstwo jest rzeczą wielką, stary Kramer przywykł bowiem wszystko brać na seryo. Umie doskonale wyśrubować drobnostkę do niebywałych rozmiarów, byle była tragedya. Na takiej rzeczy (każdy ma własne pojęcie o ważności spraw i o ich wielkości, trzeba mu je zostawić) zasadza ojciec małość duszy swego syna. Hauptman trafnie zaobserwował tę ciasną głowę, więc to serce ciasne, i stąd też wywiódł cały konflikt. Lecz trudno przypuścić, jak chce dramat, aby to był artysta. Z artyzmem to nic nie ma wspólnego, to niewątpliwe. Stary bowiem Kramer kłamie sam. Nic dziwnego, że młody mu kłamstwem odpowiada. Jest zupełnie do ojca podobny. Ci ludzie muszą się zderzyć, to nieuniknione. Konflikt zaznacza się wyraźnie i za tym konfliktem trzeba iść do końca. Jakie są następstwa? Jaki jest ten koniec? Następstw może być tysiąc, rozwiązać tego konfliktu nie można, konflikt ten do niczego nie wiedzie, skoro nieznana jest sprawa, o którą tym ludziom idzie. Jestto scena z jakiegoś większego dramatu, którego jednak autor nie napisał. Dramat rozpoczyna się i kończy samem zaznaczeniem konfliktu. Co potem na scenie dzieje się, jest prawdopodobne. możliwe, prawdziwe i pewne, tylko, że w tym dramacie rozpoczętym niepotrzebne. To zaś do innego spraw porządku nas wiedzie: punktem wyjścia był akt trzeci: w owej restauracyi zaszło gorszące zdarzenie: wyrzucono za drzwi młodego malarza, ułomnego, który się potem zabił. Wyobraźnia artystyczna zdoła stąd wysnuć wszystkie konieczne powiązania, wiodące do takiego zakończenia. Przypuścić nawet można, że zdołałby ktoś z tego wysnuć dramat o artyście-malarzu. Rzecz pewna jednak, że nie wysnuł go Hauptman, a dorobił do trzeciego dwa akty,

może zupełnie prawdziwe, może nawet oparte na szczegółowych badaniach, dotyczących rodziny młodego malarza, owej sceny z ojcem, która mogła być prawdziwa itd. itd. ale z owym faktem nie związanych logicznie, artystycznie. — A więc nie ten trzeci akt jest niepotrzebny, skoro on jest zrębem całej idei, lecz pierwsze dwa. Usunąwszy zaś motyw artyzmu, można wszystko zostawić jak jest, tylko logicznie powiązać. Akt czwarty jest znowu zakończeniem innego dramatu, dramatu samego Michała Kramera, ojca. Lecz ten znowu niema początku. Samobójstwo syna ma tysiące innych przyczyn, śmierć Arnolda, to nie dzieło ojca (to właśnie można było dramatycznie ukazać), lecz dzieło ułomności, nadmiernej czułości na opinię itp. Samobójstwo to jest uzasadnione, chociaż nie dramatycznie, raczej psychologicznie, powieściowo. Domyślić się można z dwuch poprzednich aktów, że do ułomności swej Arnold wielką przywiązuje wagę. Wyrzucony za drzwi przez gości w oczach Luizy, ośmieszony i narażony na to, że będzie punktem zbieżnym opinii całego miasta — woli się zabić. To może naturalne, ale nie dramatyczne. U każdego innego człowieka psycholog uparty dotrze do tego rodzaju wrażliwości, niekoniecznie tylko u ułomnego Taka ogólnikowa psychologia w sztuce nie wiele wyjaśnia. A nadto dla uzasadnienia tego nie trzeba całych dwóch aktów. Pozostaje więc w całości akt trzeci, który zawiązki ma w sobie tragizmu, ale zawiązki jedynie. Autor ich nie rozwinął. Do wyjaśnienia artystycznej natury Kramerów dwa pierwsze akty nie służą. Przeciwnie. Jeżeli ten ułomny Arnold ma jakieś dążenia, to te właśnie nic ze sztuką wspólnego nie mają. Z tej ułomności można wysnuć charaktor towarzyski, a na to wystarczy akt trzeci. „Michał Kramer“ wcale nie jest dramatem, powiedzmy, że jest utworem ...nowym, którego sztuka polega na zestawieniu szeregu zdarzeń wedle ich następstwa nie artystycznego, nie logicznego, lecz kronikarskiego. To może idea nowa, lecz możnaby raczej myśleć, że to wcale nie idea.

Artyści, którzy ten utwor grali, przedewszystkiem p. Sosnowski w roli starego Kramera, usiłowali dać tym luźnym wypadkom pewną jednolitość. Lecz oto, co się stało. Po antrakcie pierwszym kurtyna się podnosi, odsłaniając pracownię starego Kramera. Stary Kramer coś mówi, gestykuluje nerwowo, publiczność słucha z napięciem, ponieważ już w pierwszym akcie to i owo o nim słyszała. Teraz on sam występuje. Na widowni napięcie wzrasta coraz bardziej, publiczność czegość spodziewa się, innych słów innych gestów, innego tekstu. Widzi gesty i cały sposób zachowania się... Jana Gabryela Borkmana, który oto nagle mówi tekst zupełnie inny. Pan Sosnowski w grudniu z. r. odegrał rolę Borkmana bardzo pięknie. Rola ta należy do jego najlepszych. Więc się teraz, świadomie czy nieświadomie, skopiował. Podobieństwa między Borkmanem a Kramerem niema, chyba we frazeologii. Borkman mniej więcej mówi taksamo jak Kramer, tylko o rzeczach innych. Metodę mają podobną, lecz to ostatecznie ludzie różni, chociaż w charakteryzowaniu Hauptman nie okazał się bogatym. Czyżby p. Sosnowski w tym kierunku myślał, studjując rolę, a publiczność, patrząc na jego grę? To możliwe, lecz... tu nic pewnego powiedzieć nie można. Atoli w takim razie rolę Kramera grał p. Sosnowski świetnie, odsłonił właściwy charakter Kramera, wskazał na jego pochodzenie od Ibsena, a nie z natury. Borkman trzymał się wiarą otoczenia w swoje posłannictwo i w swoją wielkość i na tem dramat jego polegał, że wierzył w wiarę otoczenia, nie w siebie. Do niczego mu ta wiara nie posłużyła. Taksamo Kramerowi na nic ta wiara nie zdała się; nie widać przynajmniej żadnego jej skutku na scenie, nie widać w ogóle dramatu. Te powiązania jednak zbyt może dalekie, Hauptman mógł wcale o Borkmanie nie myśleć, chyba nieświadomie, jak p. Sosnowski. A w takim razie p. Sosnowski uległ sprawie umysłowej, która we wszystkich dziedzinach sztuki zdarza się dość często, żeby nie rzec zawsze, prócz w jednostkach wyjątkowych, genialnych. Publiczność, nie mając w antrakcie innego zajęcia, rozmyśla; sięga do rozmaitych dziedzin sztuki: analogij nie brak, nieprawdaż? Malarz stoi przed modelem. Rysuje go dokładnie, szczegółowo, podobnie jak p. Sosnowski mówi dokładnie tekst Hauptmana, a daje mu gesty, pozę, wyraz... poprzedniego swego obrazu, chociaż one nowemu modelowi zupełnie nie odpowiadają, chociaż do tej nowej idei, do nowego dzieła nie nadają się, chyba sztu-

cznie, podobnie jak gesty p. Sosnowskiego - Borkmana zupełnie nie przystają do tekstu Kramera. To znaczy: widzi wprawdzie naturę dokładnie, robi obraz dobry, ale się kopiuje. Nowego dzieła niema, nowego niema wysiłku, a jest powtórzenie. Tak filozof nazywa rzeczy różne jednem mianem, nie bacząc na stanowczą odmienność. Myśl filozoficzna, która do dalekich uogólnień sięga, usuwa wszelkie cechy, odróżniające rzecz jedną od drugiej (postępowanie omal, że nieartystyczne), żeby dojść do ogólnego aksyomatu, mającego pewne cechy prawdy. Zaniedbuje rzecz dla aksyomatu; może jednak całą drogę swoją, zmierzającą do uogólnienia, opisać, wówczas rzecz przedstawi się wyraźnie. Lecz tak postępuje myśl filozoficzna. Można ją ganić lub chwalić, to obojętne, nie od niej to zależy. — Podobną rzecz można zaobserwować u bardzo znakomitych artystów: malują np. portrety rozmaitych osób, a dają im jedną pozę, lub jeden rodzaj oświetlenia, lub jeden wyraz twarzy. (Są i tacy, którzy malują wogóle pozy portretowe, oświetlenia portretowe i t. d. Tu już jednak jesteśmy w dziedzinach banalności). Jestto maniera, którą zresztą można przy pewnym wysiłku usunąć. Błąd spostrzega się czasem nieświadomie. Porównać pod tym względem najlepsze portrety Mehofera, Wyczółkowskiego, Axentowicza, nawet Weissa. Dziełem nowem, zupełnem jest tu utwór pierwszy chronologicznie. Co potem następuje, może być równie dobre, piękne i nienaganne, lecz jest kopią. — Taka rzecz zdarza się i krytykom: miasto analizować nowe dzieło, przed którem stoją, kopiują się z rozbiorów poprzednich, lub idą za myślą czy wyobrażeniem, które w nich podczas lektury czy patrzenia powstało. Poznać odrazu, że krytyk nie widzi nowego dzieła.*)

Co sztuka aktorska ma do czynienia z malarstwem i innymi rodzajami? Bardzo wiele. Niczem nie różni się od wszelkiej innej gałęzi sztuki i tego dowodzić nie trzeba. To jest fakt, który domaga się opisania. Różni się, powiadają, trwaniem. Zdaje się, że to Lessing określił sztukę aktorską jako efemeryczną, nietrwałą. Prawdopodobnie się mylił, skoro dziś jeszcze sztuka aktorska trwa. Jest nieśmiertelna i po jednych artystach inni nastają, którzy dla niej żyją.

Wracając zaś do p. Sosnowskiego zaznaczyć trzeba, że z gry jego stary Kramer wyszedł głową mniej ciasną niż jest w istocie. Dlatego też i konflikt nie mógł być tak ostry, jak w rzeczywistości, w książce Hauptmana, i do niczego nie wiódł. Konsekwentnie idąca myśl p. Sosnowskiego doznała jednak przeszkody, stanął w poprzek Hauptman sam i podyktował mu słowa, które on powtórzyć musiał, ale które. które z jego rolą luźny jeno związek mają. — Arnold p. Mielewskiego był doskonały. U Hauptmana jestto zręczna, a nieco bezduszna kopia, p. Mielewski trzymał się ściśle tekstu. Skutkiem tego konflikt tem mniej wiódł do ostateczności. Artyści, jak widać, grali dwa dramaty, p. Sosnowski grał Ibsena, p. Mielewski grał Hauptmana. Czy źle postąpili? Nie. Dramat wadliwy innych nie może się losów spodziewać. — Pp. Wysockiej i Popławskiemu przypadły w udziale role zupełnie do dramatu nie należące. Są to figury, których Hauptman, trzymający się znanej formułki o naturaliźmie, nie mógł pominąć, ponieważ były tam. Czy potrzebne czy nie, nad tem naturalista nie zastanawia się nigdy. Jest „konsekwentnym naturalistą“, jak brzmi formułka i jeżeli ludzie gdzieś jedzą, piją, palą papierosy, gadają, to, chociaż to nijak sprawy nie objaśnia, naturalista je bierze, zabobonnie notując prawdę. Stąd pochodzi, że owej sprawy wcale niema, są tylko szczegóły, prawdziwe, pewne, możliwe, lecz... obojętne, są fakty, następstwo ich przypadkowe, nie artystyczne i na tem koniec. Rzeczby mo-

---

*) Autor w tem miejscu mówi o sobie samym. Porównać jego rozbiór dramatu Wyspiańskiego „Akropolis“, w którym skutkiem takiego postępowania doszedł miejscami do wniosków niewłaściwych. Dostrzec jednak można, że w ustępie III. już inaczej rysuje, widocznie błąd zauważył i poprawia się. Błąd taki, jak powiedziano, zdarza się wielu ludziom, lecz z tego nic nie wynika, to zawsze błąd. Rysunek nawet poprawiony jest zamazany, szary, brudny. Wyjaśnić takiego faktu nie można inaczej, chyba znużeniem umysłu, innyby rzekł może lenistwem. Piszący czy malujący patrzy, lecz nie widzi, nie odbiera wrażeń wcale, powtarza w sobie wrażenia dawne. *St. L.*

żna, klasyfikacya. Co robi taki Lachman w dramacie, lub córka Kramera? Nic, lecz zabobon naturalistyczny nie pozwala tego ominąć. Oboje tam byli, więc muszą i być na scenie. W tych dwu figurach możnaby ostatecznie doszukać się pewnego rodzaju naiwnej myśli. W całej bowiem sztuce są same talenty, otóż te właśnie talenty Hauptman uszeregował hierarchicznie: Kramer ojciec, wielki artysta, syn niedoszły, córka zimna, pozbawiona iskry bożej, wreszcie Lachman, talent podupadły. Kogo interesują takie zabawki, niechaj się raduje. Co zaś te figury w dramacie robią, niewiadomo.

Znamiennem więc dla tego utworu Hauptmana jest, że to wcale nie utwór, brak mu idei, brak mu samego Hauptmana. W robocie samej niema go, robota to banalna. Wedle fałszywie przyjętej formułki: le moi est haissable, unika się wszelkiej myśli, daje się zaś kilka opinij osobom działającym, bez względu na to, czy one dla nich odpowiednie. Hauptman tych ludzi nie widział, ani ich nie wyraził. Podał szereg faktów na surowo, a dopiero w ugrupowaniu ich wyszedłby na jaw on sam, twórca pewnej logiki, nowej. Lecz ich wcale nie ugrupował, dzieła nie stworzył. Całemu utworowi brak duszy. Tu p. Mielewski grą swoją mógłby był coś wysnuć, samobójstwo podkreśleniem wrażliwości Arnolda uzasadnić, uczynić je koniecznem. Musiał się jednak widocznie trzymać wskazań autora, i dlatego aktorskie zadanie spełnił doskonale.

* * *

Na tem miejscu kilka notatek wypiszemy o twórczości aktorskiej, jakkolwiek jej właściwości najwyraźniej wykazują się w analizie gry artystów. Ogólne roztrząsania zawsze są problematyczne. Pan J. Tenner w obszernem studyum („Krytyka“ za sierpień i wszesień 1904 str. 142). zgromadził szereg trafnych uwag, które sprawę niewyjaśnioną na dawnem miejscu zostawiają. Idzie o rzecz ważną: o samodzielność sztuki aktorskiej. P. Tenner w pierwszej części swej pracy dowodzi, że twórczość aktorska istnieje, przytacza na to cały szereg nie dowodów, lecz powag, zdań znakomitych umysłów. A gdzie przytacza dowody, tam dowodzi właśnie czego innego. Jak już powiedziano, twórczość ta jest faktem i ten opisać należy, nie trzeba dowodzić, że to jest fakt. W drugiej części swej pracy omawia rozmaite typy aktorów: czujących, rozumujących i połączenie tych typów skrajnych. O tem nic nie da się powiedzieć. Każdy artysta dramatyczny, o ile świadomym jest siebie artystą, gra inaczej. Taki rozdział i takie połączenie nie objaśnia rzeczy, wszystko ma bowiem początek we wrażliwości, jednej głębszej, innej mniej głębokiej.

„W każdej prawdziwej sztuce, czytamy, chodzi o uzmysłowienie jakiejś idei. Idea, to pierwiastek wszystkim sztukom wspólny, materyał uzmysłowienia idei jest w każdej sztuce inny. I tak materyałem malarza jest kolor, rzeźbiarza kamień lub spiż, muzyka ton, poety słowo, materyałem aktora to on sam“. Trudno w jednem zdaniu o większą ilość niedokładności. Żałować wypada, że autor zupełnie pominął ideę, a zastanowił się wyłącznie nad tem, co nazywa materyałem. Nie wiemy, co nazywa ideą. W ostatnich czasach tysiące temu pojęciu znaczeń dawano, nieporozumienie więc łatwo nastaje. Prawdopodobnie nie sztukom wszystkim, a wszystkim ludziom wspólnym pierwiastkiem jest idea. Wszelkie działanie polega na intuicyi, zatem na spostrzeżeniu idei, czyli dzieła, oraz na woli i zdolności dokonania tego dzieła. W tej najogólniejszej postaci jestto prawdziwe co do wszystkich kierunków działania ludzkiego, które też skutkiem tego ma wszędzie pierwiastek artystyczny niezatarty. Spostrzeżenie idei mieści już w sobie spostrzeżenie wszystkich środków, a więc i poznanie talentu, który trzeba wykształcić. Każda jednostka świadoma nie zmechanizowana ma ideę, (zbiorowości mają idee nieświadome w kształcie obowiązków, nakazów i zakazów), dla której żyje, ma cel, zdąża do dzieła. Idea i dzieło, to rzecz jedna. Król ma ideę królestwa, architekt ma ideę budynku, poeta ideę dramatu, malarz ideę obrazu. Spostrzeżenie tej idei w kształcie wyraźnym, chociaż nie zrealizowanym, świadczy o powołaniu, o talencie, o genialności. Idzie o to, żeby jej nie zmarnować, żeby jej dać kierunek, ująć ją metodą. Talent o tem rozstrzyga. Dla dokonania dzieła można użyć środków rozmaitych, można ich użyć źle albo dobrze.

Sprawa materyału jest zupełnie inna. Architekt ma ideę budynku, materyałem

więc będą dla niego wszystkie możliwe kształty architektoniczne, język czy mowa architektoniczna: dom mieszkalny, kościół, teatr itd. Malarz ma ideę obrazu, materyałem więc będą wszystkie kształty, które język malarski stanowią: portret, pejzaż, witraż, malowidło ścienne itd. W tych szerokich ramach wszystkie szczegóły muszą zgodnie stworzyć dzieło tak, żeby idea np. portretu wyraźnie ukazała się sama. Taksamo rzeźbiarz, ma posąg, grupę itd., nie kamień jest jego materyałem, lecz jego język, kształt. Widzimy, że materyał jest już niemal tosamo, co dzieło. Dzieło całkowite czeka jeszcze na artystę, który te kształty spostrzega i dla swych celów wyzyskać i ułożyć umie. Materyał wszystkich sztuk jest jeden, inną wszędzie jest technika, bo inną wszędzie jest realizacya, inne są środki, wszystko w znaczeniu najogólniejszem.

Mowa jest o artyście dramatycznym, do niego więc wróćmy. Aktor ma ideę roli, ale materyałem nie on sam jest; materyałem jego będzie znowu język teatralny, kształty żywych postaci, które znajdzie jedynie w dramacie. Jesteśmy na terenie teatralnym: aktor musi podejmować cały szereg coraz to nowych wysiłków. (Na terenie świata aktor jest pojęciem zupełnie innem i o tem tu mowy niema). Gdyby aktor miał być materyałem swojej roli, w znaczeniu, jakie temu wyrazowi daje p. Tenner musiałby dla każdej roli przebyć operacye przedziwne, tymczasem używa środków technicznych, zniekształca się, pomaga mu maszyna teatralna. Grecy używali masek i koturnów. Aktor zaś jest istotnie materyałem, ale nie swoim własnym, jest materyałem poety dramatycznego, taksamo jak materyałem aktora są postacie dramatu, dramat. Aktor dostaje rolę, znajduje ją i z nią może zrobić wszystko. Może ją zużytkować dobrze, może ją zmarnować. Ten materyał przeto nie zaginie. Trzeba zważyć, że materyał to nieśmiertelny i w tem istota wszelkiej sztuki polega. Przyjdzie inny artysta i przywróci go do właściwej prawdy i świetności. Wszystkie narody mają pewien zasób niewyczerpany tematów historycznych, legendarnych, fantastycznych, przyrodniczych itd., twory Języka, które stanowią nieginący jego materyał artystyczny, jeden utrwalony w dziele doskonałem, inny nie obrobiony wcale. Jeden temat może obrabiać kilku artystów*). Z jednym motywem pejzażowym kilkunastu malarzy postąpi odmiennie. Prawdopodobnie o ostatecznym kształcie i mówić nie można. Kamień, wiersz, farba (nie kolor, kolor nie istnieje, to sprawa nieodłączna od rzeczy) itd. należą do techniki, są środkami, które artysta umie z materyałem spoić, że jedną całość stanowią. Każda gałąź sztuki, a nawet w obrębie jednej gałęzi, każdy kształt, wymaga odmiennej techniki, a to jest sprawa umiejętności, studyów, podstaw. Oczywiście bez podstaw budować nie można.

Powiedziano jednak, że materyałem może być i sam aktor: a więc w roli bohatera dramatu, lub jakiejkolwiek tego dramatu postaci. — Żołnież idzie na bój: tu środkiem jest on sam. Bitwa, zwycięstwo, to jego idea, to jego dzieło. Dlaczego to robi, w jakim celu, to rzecz inna. Idei dyskutować nie można; jest i panuje nad człowiekiem, gna go, pali się w nim płomieniem entuzyazmu, lub jej niema wcale. Czy żołnierza tego można porównać z aktorem, który ma rolę jego na scenie w dramacie odegrać, wątpić należy. Rzecz tak podobna, a tak różna. Różna właśnie ideą. Aktora dziełem jest właśnie ów żołnierz, nie bitwa. Aktora idea jest artystyczna. Technika musi być inna. Materyałem aktora jest ów żołnierz, którego dostarczy mu dramat. Materyałem żołnierza jest bitwa, wróg, teren itd.

Żałować wypada, że p. Tenner wogóle z błędnych wyszedł założeń jakoby „dramat był związkiem organicznym kilku sztuk, a więc dziełem wszechsztuki“ (wyrażenie p. Tennera). Poprawniej byłoby powiedzieć, że dramat jest dziełem poety, a to, o czem mówi p. Tenner, jest widowiskiem scenicznem, rzecz niemal zupełnie nowa. Wiemy już, że materyał wszystkich gałęzi sztuk jest jeden, lecz każda gałąź sztuki jedną tylko stronę tego materyału realizuje, resztę w nim zawiera jakby milcząco. W obrazie (dobrym) jest i poezya i muzyka itd. zrealizowana jest jedynie strona malarska, bo tylko na to pozwala technika. Otóż widowisko sceniczne realizuje zapomocą kilku technik wszystko, co zapomocą jednej tylko, więc mowy, w ksią-

*) Poniżej szczegółowo o bajce pp. Lemańskiego i Herza.

żce jest wyrażone. — Twórczość aktorską upatruje p. Tenner, między innemi, w tzw. części niemej. Wiadomo, że poeta daje dyalog, czasem kilka wskazówek niezbędnych, resztę musi zrobić aktor. Dodajmy nawiasem, że każdy czytelnik robi tosamo, czytając, ale nie mając techniki, umiejętności i talentu, nie realizuje. Ta reszta zatem w dyalogu jest, o ile to dyalog dobry. Nie można tego nazywać uzupełnieniem, aktor bowiem własną swoją techniką materyał artystyczny formuje. Samodzielność tej sztuki w ten sposób ukazuje się. W dalszej konsekwencyi twórczość aktorską upatruje autor w sztukach miernych, w których autor ról całkowicie nie napisał, a dał jakoby jeno szkic, lub figurę nieżywą. Wniosek ten brzmi tak: aktor ma szkic, a sam musi rolę stworzyć. Otóż szkic może być dobry lub zły. Dobry zawiera już w sobie prawdopodobnie wykończone dzieło, tu autor nie stwarza postaci, lecz ją wykończa. A o złym szkicu niema co mówić. Tu o twórczości aktorskiej niema mowy, ponieważ to niezgodne z prawami tej sztuki. Przyjmijmy, że mamy sztukę mierną i, że aktor ma talent pisarski i poetycki, wówczas mógłby rolę miernie napisaną, którą odegrał, napisać. Widoczna jednak, że on tej roli miernie napisanej nie grał, skoro n i e b y ł a n a p i s a n a. Artysta, który w ten sposób stworzył postać w dramacie nie napisaną, nie grał roli, lecz napisał d r a m a t, swój własny, inny, nowy. Przyjmijmy, że talentu pisarskiego nie ma, wówczas czerpie może z zasobu swoich ról dawnych. Tak, widzieliśmy, postąpił z Kramerem p. Sosnowski, grał Borkmana. Pan Mielewski szedł za tekstem Hauptmana, który roli Arnolda nie napisał, zapomniał o duszy, więc też dramatu nie było wcale. Przypuszczenie niedalekie, że nieraz dramaty zupełnie nowe powstają przez grę artystów na scenie. Wyobrazić sobie można poetę, który siedzi na widowni i widzi na scenie dwa dramaty, jeden napisany, drugi nienapisany, a odegrany, i ten drugi teraz napisze. Stworzy dzieło nowe zupełnie. W samej rzeczy traktowanej przez autora, a więc w materyale dramatycznym, uchwyci tę ideę, której tamten nie widział, a którą mu odsłonił może aktor swoją grą. Mówiliśmy, że to poeta, nie każdemu bowiem ideę odsłonić można, nie każdego ona uderzy, nie każdy tak tę grę pojmie.

„Więc pan pragnie, aby wszyscy recenzenci byli poetami“ pyta mnie spojrzeniem z fotografii bywalec teatralny.

„Niczego nie pragnę; idę za biegiem sprawy, o nic innego się nie troszczę“.

„W wieluż to lichych sztukach, czytamy dalej u p. T.... porywał i czarował największy aktor polski, Żółkowski, swoich słuchaczy“. Otóż właśnie, wówczas nie był aktorem w roli napisanej, lecz grał rolę, którą sam sobie napisał, w domu, na scenie, w czasie widowiska: oryentacya prawdziwego artysty jest szybka, intuicyjna, nieświadoma. Można podobną rzecz zauważyć na przedstawieniach dzieł obcych, nawet arcydzieł, albo dramatów, pochodzących z dawniejszych epok sztuki. Autor, mający własną kulturę lub wzbogacony artystycznemi zdobyczami epok późniejszych, zmienia postać całego dramatu, który dla swej epoki i może dalej był arcydziełem, swoją własną, nową ideą. Tylko, że nie może wydobyć już na scenie wszystkich konsekwencyj swej gry, na to mu nie pozwala rola napisana. Tu już wkracza poeta. Widać, jak każda sztuka zakres swój trzyma i poza granice nie wychodzi. Takie wszystkich sztuk odwieczne prawo.

Na miernych utworach niepodobna przeprowadzać zagadnienia twórczości aktorskiej; właśnie zaś na tem zasadzano ją przeważnie od Lessinga począwszy, który się tą sprawą poważnie zajął. W tym kierunku poszedł i p. T., zaszedł więc do rezultatów dawnych, a co do innych, np. dobrych dramatów poszedł za Wagnerem. Z przewódcą takim jak Wagner można dowodzić, że sztuka aktorska jest samodzielna, a wykazać, że jest niesamodzielna. Wagner bowiem głównie miał na celu widowisko teatralne; ono dopiero jest całością. Istotnie teksty Wagnera nie są dramatami zupełnemi, muzyka jest niezupełna. Wagner w s w o i c h dziełach właśnie niesamodzielność sztuk ustanowił. Wszystkie mają się wzajem uzupełniać. Wagner, rzec można, był znakomitym artystą-reżyserem. Mallarmé, który był Wagnera wielbicielem i uczniem, i szerzył jego idee we Francyi, miał idee własne, o tem wątpić nie można. Lecz nie zmienił właściwie postaci rzeczy: Wagner ogłosił Teatr „świątynią wszys-

tkich sztuk“, Mallarmé Książkę. Zmieniła się nazwa, rzecz, niewłaściwie, została tasama. Wskazano poprzednio, że każda gałąź sztuki jest samodzielna, a realizacyę ma jedną: książka, obraz, grupa itd. stanowią dzieła całe i zupełne; różnią się doniosłością, a to jest sprawa rozszerzenia dzieła sztuki. Do tego służy widowisko teatralne, rzecz zupełnie nowa, inna, która nie jest ani dramatem, ani obrazem, ani rzeźbą. Tej sprawie rozpowszechnienia dzieła można dać cechy artyzmu. Podobnie jak artysta nie da wydrukować książki w sposób pospolity, a postara się dać jej kształt najpiękniejszy, tak rozpowszechnienie dramatu musi mieć wszelkie cechy piękna. Nie można, na to poczucie artyzmu nie pozwala, rozpowszechniać dzieła pospolicie. Otóż w widowisku teatralnem wszystko staje się materyałem, każda gałąź sztuki zachowuje całą swoją samodzielność i o ile tę samodzielność zachowa, o tyle przyczyni się do piękna całego widowiska. O ile więc aktor będzie wyłącznie aktorem, o ile dramat będzie wyłącznie dramatem itd. W takiem widowisku cokolwiek poza ramy sceny wychodzi, musi zniknąć, a więc kto wie czy nie orkiestra. Wagner, zdaje się, mówił o jakiejś orkiestrze ukrytej. To szczegół naiwny. Zależy to od dramatu: o melodyjnej muzyce lub o recitativie niema tu mowy. W dramacie muzyka jest w głosie mowy ludzkiej, ujętym rytmiką wiersza. Takie widowiska mieliśmy już w Krakowie, więc oderwanych kombinacyj nam nie trzeba. „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Bolesław Śmiały“. Muzyka występuje w miejscach, w których głosu ludzkiego nie słychać: w „Wyzwoleniu“ w chwili wejścia Geniusza i w chwili odejścia zabrzmiały dźwięki marsza żałobnego Chopina. Trzebaby jeszcze, aby orkiestra gdziekolwiek na scenie była umieszczona, bo tam jej miejsce właściwe, trzeba więc, żeby była osobą dramatu. Muzykę komponuje oczywiście muzyk, o ile poeta dramatyczny nie jest muzykiem. W „Wyzwoleniu“ wybrano Chopina i taki wybór jest trafny, bo to jest sztuka samodzielna; o dziełach Wagnera tego powiedzieć nie można.

Co p. T. mówi o nastroju, nazywa się poprostu atmosferą, a jeżeli tej niema w dramacie, to jej aktor nie stworzy, ani reżyser, jeżeli zaś stworzy, to będzie to inny dramat. Otóż p. Tenner dowodzi, że twórczość aktorska wyłącznie polega na stworzeniu tego nastroju, który „odsłania przepastne głębie duszy ludzkiej“, a którego w dramacie napisanym niema, ponieważ słowo napisane, i wygłoszone inne mają horyzonty. (Dźwiękiem mowy budzi aktor w słuchaczu wzruszenie. — Tosamo oczywiście zdoła poeta, lecz to zależy od rodzaju wrażliwości słuchacza. Nie w każdym słuchaczu aktor zbudzi wzruszenie). Przyznaje zatem sztuce tej materyał i zakres innym sztukom nieznany i cel utylitarny. Wskazaliśmy, że materyał wszelkich sztuk jest jeden, nastrój zaś nigdzie jako materyał nie istnieje. Jeżeli przezeń rozumieć poezyę, to poezya nie jest materyałem —; atmosfera jest nieodłączna od rzeczy i z nią razem żyje, jest jej życiem i duszą. Czyli dowodzi p. T., że aktor wówczas jest twórczy, gdy łamie odwieczne prawa swej sztuki, ich logikę niezachwianą. Łamie zaś te prawa nawet wówczas, gdy swoją grą pisze inny dramat. Takie łamanie praw kończy się tragicznie: wkracza autor kiepskiej sztuki i dyktuje mu rolę swoją — i zwycięża. Sztuka aktorska żyje dziełami doskonałemi, na lichych się wypacza, staje się połowiczna, jest na poły poezyą, na poły sztuką aktorską. Na to, co prawda, rady niema. — Autor tu rzecz dostrzeżoną niewłaściwie tłumaczył. Aktor nie samym dźwiękiem i gestem ową atmosferę budzi, lecz ją podkreśla, jest bowiem i częścią widowiska, którego ton podnosi się w stosunku do tonu książki przez to, że co tam wyobraźnia czytelnika widzi i słyszy dowolnie, na scenie ma przed sobą zrealizowane, więc teren zdarzeń, porę dnia lub nocy, głos, ruch. Widowisko teatralne ujmuje w karby wyobraźnię, precyzuje rzeczy dla niej niejasne, zdane w książce na jej kaprysy. Tem się tłumaczy, że ludzie, którzy nie zrozumieli książki, rozumieją teatr.

Lecz... tu nie o widowisku mowa, a o sztuce aktorskiej. Dobrych dramatów już dzisiaj nie brak, a genialnego, twórczego aktora poznać po tem, że rolę całkowicie n a p i s a n ą, zupełnie o d e g r a, odczuje i odrysuje na scenie. Nic też dziwnego, że czasem aktor służy za model do portretu postaci, którą gra, to właśnie żywa owa postać. Aktor tworzy arcydzieło, gdy całą prawdę i głębię swej roli pojmie i odda. Rola (dobrze napisana) to dla aktora tosamo, co dla malarza, poety i t. d. natura.

Wszelako rola, to dopiero część dramatu, o ensemblu dramatycznym już nieco powiedziano wyżej, przy omówieniu gry pp. Sosnowskiego i Mielewskiego — inna się jeszcze sposobność nadarzy.

Czytamy dalej u p. Tennera: „Żółkowski z konturów stworzył żywą postać, wlewając w nie cząstkę swego ducha, swego geniuszu i sztuką swoją wskrzesił martwy szablon, który napowrót zapadł się w nicość, gdy Żołkowskiego zabrakło.“ To najpierw niekonieczne, skoro po Żółkowskim mógł zjawić się równie genialny aktor i skoro dramat się rozwinął. Wniosek z tego jest taki: zapadły się w niecość, ponieważ Żółkowski nie wykształcił swego talentu pisarskiego i dramatów nie pisał, w których mógłby był wyciągnąć te wszystkie artystyczne konsekwencye, których mu autor miernej sztuki wyciągnąć na scenie nie dał, ile, że rzecz mu zupełnie inną dyktował, a swobodę wobec tekstu mają jedynie komedyanci w commediadell'arte, albo we wodewilu, jak to świetnie wyzyskane w V. scenie „Nocy Listopadowej“. Te konsekwencye zresztą może już w dzisiejszych dziełach dramatycznych są wyciągnięte.

Łatwo niezmiernie pomięszać pojęcie dramatu z pojęciem widowiska teatralnego gdy sztukę aktorską uważa się za dopełniającą, nie zaś samodzielną. W pracy pana Tennera jest usiłowanie, żeby tę samodzielność wykazać, lecz traktuje ją autor, nie wiedząc o tem, jako zależną. „Powodzenie każdego przedstawienia teatralnego jedynie i wyłącznie od gry aktorów zależy. Ileż to razy dobra gra aktorów wprowadza publiczność w błąd w osądzeniu najlichszych sztuk, a ile razy najwspanialsze dzieła geniuszów poetyckich, przechodzą bez wrażenia z powodu lichej gry niezdolnych aktorów“ (str. 146). Pomięszanie pojęć widoczne: powodzenie przedstawienia nie zawsze stanowi o wartości dramatu. Dobra gra aktorów nigdy publiczności co do wartości utworu w błąd nie wprowadzi. Mieliśmy niedawno tego przykład w Krakowie. Publiczność i krytyka uznała, że pani Siemaszkowa w „Cieniu“ p. Feldmana stworzyła postać, której w tekście niema. (Żałuję, że pani Siemaszkowej w tej roli nie widziałem, mógłbym szerzej o tem mówić, mówię zaś na podstawie recenzyj i opinii, bo o to idzie). Dodajmy, że na tej postaci nowy możnaby osnuć dramat.

Niezwykłym przykładem aktora, który był również poetą dramatycznym, jest Szekspir. O aktorze Szekspirze nie wiemy nic zgoła, skąpe wzmianki nic nie wyjaśniają, mówią nawet, że był aktorem miernym. Można jednak o tym aktorze Szekspirze coś niecoś odgadnąć, przeczytawszy jego dramaty, dzieła artysty genialnego. Na podstawie tych dramatów możnaby nawet zrekonstruować postać artysty dramatycznego Szekspira, oczywiście na gruncie epoki elizabetańskiej, na której domysły stałyby się może prawdą. Hamlet, Romeo, Shylock, to może role Szekspira, role, które sam Szekspir napisał? (O całości dramatu na razie tu nie mówię). Nie myślę aby ta idea była zła, chociaż mogę się mylić. Szekspir był aktorem, który dramaty swoje spisał, ponieważ był poetą.

W drugiej części tej uwagi p. Tenner też zbacza, mówi, że dzieła przechodzą bez wrażenia, ale wartości nie tracą. Istotnie: jeżeli te nie tracą, to tamte nie zyskują, aktor nie może podnieść wartości utworu ani jej obniżyć. Ta wartość jest w dramacie napisanym. Sztuka aktora jest samodzielna zupełnie. Publiczność zaś zdaje sobie sprawę niemal zawsze, co z miernej sztuki wrażenie wywarło, dramat, czy gra artystów, jeżeli takie rozdwojenie zajdzie. Wiadomo zresztą, że publiczność grą artystów, ich sztuką interesuje się, ma swoich ulubieńców, czasem nawet nie odróżnia aktora od osoby dramatu, sympatyą darzy itd. itd. — Sztuka aktora jest samodzielna, nie zaś reprodukcyjna. Artysta dramatyczny stoi wobec natury, jak malarz, poeta, muzyk itd. Główna rzecz w tem naturalnie, z jaką duszą i sercem wobec tej natury staje. A to jest sprawa każdego szczegółowego wypadku. W ogólności o tem dyskutować nie można. Wyczerpać przedmiotu w tych notatkach niepodobna. Artyści sceny krakowskiej (zapowiedziane są także występy gościnne pana W. Rapackiego) nieraz dadzą sposobność do ściślejszego określenia ich sztuki w każdym wypadku szczegółowym. — Rozebrawszy w ten sposób i odgraniczywszy pojęcia idei, materyału i środka, jak na analizę przystało, wracamy do dawnego i otrzymujemy dzieło. W niem ta cała analiza zawarta jest niewidzialnie, niema jej wcale, sprzęgła się z dziełem.

* * *

Dwaj poeci, pp. Herz i Lemański, obrobili jeden materyał. Można się na tym jednym utworze każdego z nich ze stylem obu zapoznać. Mając takie przykłady pod ręką — obie książki, „Bajki“ i „Proza ironiczna“ wyszły w r. 1904 — trudno z nich nie skorzystać. W historyę bajki nie trzeba się wdawać, nieprawdaż? Każdy zna Ezopa, a co najmniej La Fontaine'a i Krasickiego. Wszelako „Bajeczki“ p. Lemańskiego różnią się tem od dawnych, że chcą być epoką w historyi bajki. W przedmowie do „Bajeczek“ (całą książkę omówimy w innych notatkach, tu zaś bierzemy na uwagę jeden jej dział p. t. „Bajeczki“) znajdujemy tę myśl wyrażoną jasno:

„Wstęp. — Od czasu wynalezienia bajek, zwierzęta skłonniejsze do czy-
„tania i przyjmowania dobroczynnych wpływów literatury, to i owo w na-
„turze swojej przeinaczyły. W bajeczkach poniższych o takich właśnie
„ulepszonych stworzeniach mowa.“

Po takim zwięzłym wstępie zainteresowanie jest wielkie. Ciekawość gna do czytania. Oto bajeczka:

„Kruk i lis. — Kruk siedział na gałęzi trzymając w dzióbie kawał sera.
„Ujrzał to Lis i mówi: „Słyszałem, że pan ślicznie władasz tenorem i, że
„to u was rodzinne. Zaśpiewaj, proszę“. Kruk zjadł naprzód ser, a potem
„rzekł: „Czy pan masz młodszego brata? Tak? A więc przyjdź z nim jutro,
„o tym czasie, w to miejsce to wam powiem, żeście kpy obadwa. Czy nie
„wiesz, że jestem tymsamym krukiem, któregoś już raz wystrychnął na
„dudka wychwalaniem przodków. Malo accepto stultus sapit —
„wiesz pan. Czytałem i ostatecznie albo się korzysta, albo nie. Pan, widzę,
„masz jeszcze dużo starej naiwności, chociażeś lis. Żegnam“. I odleciał“.

Zabawne, prawda? Więc proszę, poczekamy, aż śmiech wasz przeminie, psuć wam zabawy nie chciałbym. A zatem po tej zabawie pierwsza uwaga, która się nasuwa — to, że lis bajek ani wogóle literatury nie czytał; więc, że tu niema mowy o ulepszonych stworzeniach, jak nam obiecano we wstępie. To właśnie sztuczka p. Lemańskiego, umożliwił przez nią sytuacyę z bajki, a ta byłaby niemożliwa, gdyby był lis również czytał i „ostatecznie“ skorzystał. Czyli, że p. Lemański dla uratowania swojej bajeczki sfałszował, żeby rzec tak, historyę. Książkę swą nazwał p. Lemański „Prozą ironiczną“. Dlaczego to ironia, niewiadomo. Wyobraźcie sobie, że ktoś ma fakty legendy takie: jest ojciec i jest syn, rycerze obaj nieskazitelni. Stykają się gdzieś po drodze i jeden drugiemu ustąpić nie chce. Honor nie pozwala. Dobywają olbrzymich mieczysk i stają do walki. P. Lemański czyta i powiada, że nie. Że raczej zajrzą sobie w oczy, uśmiechną się chytrze, wsuną miecze do pochew i pójdą na wino. Pojmiecie, że sam Offenbach na to sobie nie pozwoli. P. Lemański powiada, że to ironiczne. Każdy ma własne swoje pojęcie ironii, p. Lemański ma swoje, nie trzeba mu go przeczyć. Polega zaś na tem, że zadaje się kłam rzeczom stwierdzonym; w ten sposób można przeczytać jakiś fakt: Achilles zabił Hektora, p. Lemański powie, że nie. Bajeczki p. Lemańskiego pochodzą z czytania. Wziął bajkę starą i powiedział, że nieprawda. Lecz takich bajek można napisać krocie, wysiłek jest raczej mierny. Czytelnik mu powie, że widocznie o kim innym mówi, wnioskuje bowiem tak: skoro kruk zjadł ser, to widocznie to nie ów kruk historyczny ani ów lis historyczny, to inne stworzenie, które daremnie usiłuje zapewnić lisa, że „jest tymsamym krukiem“. Nikt nie uwierzy.

Co zatem zrobił z tą bajką p. Lemański? Usunął poprostu jej podstawę artystyczną. A w takim razie ani o ironii ani o humorze mowy niema, ktośby może pobłażliwszy powiedział, że to sceptycyzm rozczarowanej myśli. Dźwięki znane, lecz puste. Sceptycyzm wobec faktów? Wobec motywów, to rzecz inna. P. Lemański zniszczył materyał artystyczny, mówi o innych zwierzętach, a dał im nazwy historyczne. Wszyscy historycy mówią, że kruk kawał sera wypuścił, to jest fakt. Ani jednego wśród wszystkich niema historyków, jacy kiedykolwiek o kruku, lisie i serze pisali w Europie. Może w Ameryce albo w Japonii. Ten kruk to raczej jakiś yankee. Pan

B. Herz, który w materyi bajek jest również kompetentny nic o tem nie wspomina, mówi zaś na str. 41 swej książki.

Powiadają, że z bajki płynąca nauka
Mniej łatwowiernym uczyniła Kruka,
Że dziś niełatwo już go Lis oszuka,
No i tak dalej... A ja wyznam szczerze,
Wszystkiemu temu nie wierzę.
Mam głębokie przekonanie,
Że kruk krukiem, lis lisem był, jest i zostanie.

Przekonanie p. Herza, nawiasem mówiąc, opiera się na fakcie historycznym, więc można je było opuścić. Wiersze te jednak odsłaniają drogę, po której szedł p. Herz. Oto wziął postać lisa i kruka symbolicznie, a to są istoty rzeczywiste. Wątpić należy, aby tak można historyę traktować. Wykreśliwszy więc te wiersze, które niepotrzebnie zacytowałem, przejdziemy do samego zdarzenia. Kruk niósł kawał sera i spostrzegł lisa zadumanego:...

„Aż tu ciekawie
Kruk pyta: „Kumie, o czem tak myślicie?“
Lis zaś na to: Podłe życie“.
— „Osobiste jakieś bóle?“...
— „E nie — rzecze — lecz wogóle.
Świat w nieprawości tonie, grzęźnie coraz głębiej
. . . .
Więc póki czas,
Ostrzegam, ostrzegam was:
Światem dzis nikczemność włada!“
— „Ejże, Lisie,
Zdaje mi się,
Że przesada.“
— „Przesada!? (Kaznodzieja wzrokiem groźnym błyska).
Śmiesz to mówić? A przyznaj, pewnoś ukradł ser!“
Na te słowa ze wstydu ptak upuścił żer.“

Więc ostatecznie kruk sera nie zjadł, a to rzecz ważna, nieprawdaż. P. Herz ma racyę, p. Lemański nie ma racyi. Tylko u p. Herza lis się zamienił w kaznodzieję, więc bajka sama postępu nie zrobiła. To zupełnie co innego, to inne czasy, jak te, o których mówi bajka. Pod fakt historyczny podszyto nowe postaci, tendencyjnie. Szło o wynalezienie nowego środka podejścia kruka, w czasach więc swoich go poszukał, a nie w charakterach postaci. Nie roztrząsał p. Herz samego faktu, lecz wziął zeń jedynie tytuł. Wyszedł z pojęć ogólnych: chytrość z jednej strony próżność z drugiej, a to istoty może szersze; jeszcze zaś pewniej ze zdarzenia wśród ludzi zaobserwowanego. U p. Lemańskiego zatem metodą symbolizm, styl, brak stylu; u p. Herza symbolizm, styl tendencyjny. Braknie natury, obserwacyi samych faktów własną myślą. Z jednym materyałem dwaj poeci nic nie zrobili, bajka została na dawnem miejscu. Kształt jej nie zmienił się, przez przeniesienie materyału do innych czasów i innych cywilizacyj nic się nie robi, bajka mimo to bowiem nie staje się dzisiejszą, poeta nie dał dzieła nowego. Stylów zaś możnaby tu odkryć bardzo wiele. Kruk mógłby, miasto śpiewać, spuścić dobrowolnie kawał sera w paszczę lisa, lis mógłby pomknąć i śmiać się głośno, kruk mógłby się uśmiechnąć i wiarę w jego próżność a swoją chytrość lisowi pozostawić, mógłby potem zakrakać, coś go może zabolało. Niewiadomo. To zależy właśnie od tego, jak te postaci będą pojęte (sprawa smaku). Możnaby jeszcze usunąć chytrość i próżność i rzecz rozszerzyć. Inny poeta się tem zajmie.

Oto dla przykładu jeszcze jedna bajeczka p. Lemańskiego o Pustelniku i Niedźwiedziu: P. Lemański kończy tę bajkę tak: Pustelnik się przebudził, a niedźwiedź,

który był muchę odpędził, nic o tem swemu panu nie wspomniał. Więc nic nie było, nic się nie stało. Znowu tasama łatwa ironia p. Lemańskiego. Legend w ten sposób się nie znosi, można je jeno prawdziwszemi uczynić. Śmierć pustelnika jest konieczna, inaczej bajka nie bajką, p. Lemański wziął materyał, posiekał i odrzucił precz. Lecz to materyał nieśmiertelny. Skąd wziął swój fakt p. Lemański? Nie z historyi, lecz z fantazyi, w samem zdarzeniu nic go nie uderzyło, śmierć pustelnika możnaby zaś uczynić konieczną, w bajce znanej jest przypadkową. Takie postępowanie z materyałem jest nieartystyczne.

Wybór między obiema bajkami byłby trudny: można je obie ułożyć odmiennie, a wówczas obie będą dobre. Kruki żyją bardzo długo, ale ostatecznie wątpić można, aby ów kruk, o którym wiecie z bajki dawnej, jeszcze żył i znowu w tejsamej znalazł się sytuacyi. Umarł na pewno i już go niema. Tego nie zauważyli obaj bajkopisowie. Bajka p. Herza już w samym wstępie zaznacza tendencyę wykazania niezmiennej natury kruka i lisa, chociaż to wynikać ma z wypadków. Wynika zaś z przekonania poety. W bajce p. Lemańskiego mamy już widocznie z innym krukiem i z innym lisem do czynienia. Szkoda więc, że autor podkreśla, jakoby to był kruk tensam, który już raz... itd. Inaczej bowiem sprawa byłaby taka: „powiadacie, że kruk zawsze jest próżny i głupi, a lis chytry, otóż nie; znam kruka, który był przebiegły, lisa, który był głupi, ponieważ naśladował swoich przodków bezmyślnie bez względu na to, że wobec nowego zadania znalazł się“. Do kogoby słowa te odnosiły się? Nie do poety bajki, lecz do czytelników, którzy ją tak uogólnili. Lecz metoda symboliczna na to nie zezwoliła p. Lemańskiemu. Doświadczalna doprowadziłaby do rezultatów nowych, a więc obserwacya. Nie byłoby to obrobienie istniejącego materyału, lecz bajka nowa, więc i sytuacya mogłaby być nowa, coby jeszcze lisa mocniej scharakteryzowało. Jeżeli zaś jest tasama sytuacya, to trzeba się trzymać dawnej bajki, rozebrać fakty, zdarzenia, charaktery i powiązać. Ostatecznie więc bajka p. Lemańskiego nie jest utworem wcale.

Obaj bajkopisarze nie zdali sobie sprawy z tego, że Kruk nie jest symbolem, lecz istotą całą i żywą oraz że historya o j e d n y m tylko Kruku mówiła. Inne Kruki mogą być odmienne, taksamo lisy. To zauważył p. Lemański). I jeden tylko kruk dał się podejść. O niczem innem dawna bajka nie mówi, uogólniać tego nie można, przynajmniej poeta dawnej bajki tego nie robi, robią czytelnicy. Pp. Herz i Lemański występują też w swych utworach w roli c z y t e l n i k ó w, nie zaś bajkopisów. Nieszczęście bowiem chciało, że zwierzęta nazywają się gatunkowo, nie mają zaś, nieostrożne, nazwisk osobistych, które kładą tamę wyobraźni i od wszelkich powtarzań i plagiatów strzegą. Plagiat w bajce p. Lemańskiego popełnił lis, w bajce p. Herza kruk. Pomyliły się widocznie stworzenia, pomięszały się z przodkami. Wyobraźnia bowiem niepohamowana snuje: kruk, to wszystkie kruki, lis to wszystkie lisy. Co, nieprawdaż, jest problamatyczne. Bajka p. Herza może również być zupełnie nową rzeczą, ale z niej trzeba usunąć wstęp i imiona kruka i lisa. Obrobieniem dawnego materyału artystycznego i ona nie jest. *St. Lack.*
